RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK IV. WRZESIEŃ—1930

WARSZAWA

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank. 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYNCZEGO numeru 1.— zł.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 i 436-18; Redakcji 503-59. P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 popołudniu. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK IV. WARSZAWA, WRZESIEŃ 1930

Z KRAJOBRAZÓW POLSKI



BŁOTA PIŃSKIE. *Fot. J. Bułhaka, Wilno.*

SMĘTNY TO, LECZ PEŁEN DZIKIEGO PIĘKNA WIDOK. TAK WYGLĄDA DZIŚ KRAJ, KTÓRY SZUMIEC BĘDZIE KIEDYŚ ŁANAMI ZBÓŻ, GDY OSUSZONY OŻYWI SIĘ PRACĄ POLSKIEGO PŁUGA. DŁUGIE LATA TRWAC BĘDZIE WYDZIERANIE TEGO SZMATU ZIEMI SUROWEJ PRZYRODZIE, ALE ZWYCIĘSTWO WOLI CZŁOWIEKA JEST PEWNE, A WALKA O POLESIE JUŻ ROZPOCZĘTA

NA ROZDROŻU

Coraz częściej odzywają się w Polsce głosy, zwracające uwagę na rozpaczliwy stan naszej współczesnej literatury. Doszło do tego, że nawet z obozu naszego radykalizmu, który najbardziej przyczynił się do upadku dzisiejszej literatury polskiej, wołają już o potrzebie ideału i urągają „zaprzańcom".

W rzeczy samej, w dobie powojennej, która zdawałoby się powinna była stać się erą rozkwitu naszego piśmiennictwa — jesteśmy świadkami gwałtownej krytyki wartości kulturalnych okresu minionego i pozostawienia w miejsce burzonych świątyń ducha i piękna rozpaczliwej pustki.

Polskę zalała pornografja i obca i fabrykacji rodzimej. Życie polskie w świetle dzieł nowych beletrystów przypomina jedno wielkie moralne bagno. Literatura ta nie zdobyła się nawet na cień ideału, a jeśli wychwalała co, to tylko zjawiska ujemne, demoralizujące. Nawet pisarze starszej generacji zaczęli ulegać nastrojom dominującym.

W poezji niedołęstwo myślowe, nieuctwo i niechlujstwo formy podniesione do wyżyn... zasady. Kazano wierzyć, iż śmieszność i bezczelność są właśnie nowemi drogami do krainy piękna i artyzmu.

Wpływowa krytyka znalazła się bądź w ręku obcego narostu na ciele polskiem — żydowstwa, bądź w ręku ludzi zależnych.

Nacisk żydowski jest dziś tak wielki, iż pisarz polski, nieschlebiający gustowi międzynarodówki żydowsko-masońskiej, nie ma żadnych danych wypłynięcia na widownię szerszą.

Polską literaturę piękną reprezentują obecnie na forum wewnętrznem i zewnętrznem przedewszystkiem semici. Tuwimy, Słonimscy, Winawerzy wysuwają się na plan pierwszy.

Rzetelna praca z dziedziny krytyki literackiej, czy kultury polskiej z zasady bywa przemilczana na całej linji, reklamowane są natomiast dzieła rozkładowe, podważające nasze tradycje kulturalne i wydzierające nam najcenniejsze skarby narodowego ducha.

Zrzadka, w drodze wyjątku tylko, na polskim rynku księgarskim ukazują się w tłumaczeniach utwory obce, wartościowe. Z reguły natomiast zarzucani jesteśmy przekładami książek autorów albo mało znanych w ich własnej ojczyźnie i niewiele wartych, albo wręcz tam pogardzanych.

W tym samym duchu pracują i żydowscy władcy krytyki, olśniewając czytelników polskich nazwiskami twórców, o których na szerokim świecie nic wogóle niewiadomo.

Literatura polska przestaje być naszą — stając się judeo-polską. Jeżeli trudno dziś wogóle u nas o utwór beletrystyczny, napisany z talentem, to jeszcze trudniej o utwór niezawierający w sobie trucizny moralnej.

Pisma perjodyczne, poświęcone literaturze i sztuce, z niewielkiemi wyjątkami, brzydzą się wszelkim idealizmem, który się nie popłaca. Dbają tylko o towar, który może się podobać zdemoralizowanej i niekulturalnej ulicy.

Jeśli co polskiego wypłynie jeszcze na powierzchnię tego bagniska będzie to znowuż pornografja ubrana w kontusz staropolskiej rubaszności. Nie braknie wtedy wonnych kadzideł i pochwał pod adresem „narodowego twórcy"...

Cóż dziwnego, że w dzisiejszej Polsce rzetelni pisarze umierają w nędzy, a tuczą się wydawcy tanich przekładów obcych, zaśmiecających nasz rynek księgarski i ogłupiających masy.

Mylnem jest twierdzenie, że literatura jest tylko odbiciem moralnego oblicza danego środowiska. Cokolwiek bądź można powiedzieć o obniżeniu się poziomu moralnego naszego społeczeństwa — nie jest ono zbiorowiskiem wykolejeńców i łotrów, o których tylko umieją pisać dzisiejsi „literaci", obracający się wciąż wkółko wśród towarzystwa kawiarnianego.

Rzecz godna uwagi, że i chłop polski po wsiach, i robotnik, i inteligent ciężko pracujący w niemożliwych warunkach — pozostają poza sferą spostrzeżeń „koryfeuszów" dzisiejszej naszej literatury. Natomiast literatura ta stara się upodobnić do kina i prasy brukowej — Świat, którym interesuje się, jest to środowisko niebieskich ptaków, zboczeńców i przestępców różnego rodzaju.

O literaturze dramatycznej mówić właściwie nie warto. Albo lichota, pokazywana na urągowisko, jako produkt twórczości polskiej, albo żydowskie i bolszewickie kpiny ze sprzeciwiających się nowemu „objawieniu" w literaturze.

Rozpaczliwe te stosunki wymagają stanowczego przeciwdziałania. Literaturze polskiej powinno być wreszcie przywrócone jej polskie oblicze. Powinna ustać presja, demoralizująca młode siły, zszczeznąć żydowski Synhedrion, rozdający laury na polskim Olimpie.

Sądzimy, że powinni właśnie zastanowić się nad tem co się dzieje wydawcy polscy, szczycący się świetną przeszłością księgarstwa polskiego. Od wydawców bowiem zależy, by rynek księgarski nie był zawalony śmieciem, by walor mogła mieć książka moralna. Księgarstwo przecież, — zwłaszcza w Polsce, — nie jest tylko interesem, ale odpowiedzialną służbą publiczną.

Wreszcie winni autorzy polscy, szczególnie młodzi, wyjść z ciasnego koła zainteresowań i obaw i rozpocząć walkę o honor piśmiennictwa polskiego, które znalazło się w jarzmie geszefciarzy i demoralizatorów.

Odrowąż.

GRANICZNA POLITYKA MARGRAFA GERONA
A CZASY OBECNE

W grze politycznej, w odmęcie różnobarwnych stuleci, w szkarłatnym Rzymie, chmurnem średniowieczu, w migawkowym niepokoju czasów nowych, stosowane są przez wtajemniczonych, zgodnie z temperamentem i tradycjami narodu, do którego dyplomaci należą, bardzo rozmaite arkany strategji, nieprzewidziane, a często potępiane przez prawo międzynarodowe.

Bo urzędowo konferencyjne sale nie są areną igrzyskowego theatrum, dla którego przygodną sceną są ciche miejscowości, nieznane do chwili pierwszego wystrzału broni lub kalumnji.

Śmiało rzec można, iż duchowi polityki niemieckiej, będącej odpowiednikiem ducha ludu, są nieobce z wiek wieka drapieżne, podstępne a niezgrabne posunięcia i chwyty. Margrabiowie Gero von Merzeburg i Wichman, którzy zapraszali kneziów z za słowiańskiej granicy, mieli w ciągu wieków godnych potomków i naśladowców. W historji niemczenia Śląska, roi się od przykładów zdradnych pogranicznych wichrzeń, porywań siłą, ciążącą nad prawem i szpiegowskich wywiadów.

Przypomniawszy pokrótce o głośnej sprawie pułkownika Krystjana Ludwika Kalksteyn-Stolińskiego, starosty oleckiego podamy szereg dowodów, że podobne wypadki były nader częste, a istnienie gotowości do zamachów, samo spełnianie takich występków, stwierdza własnoręcznem pismem Fryderyk II-gi.

„Mości Panie Hetmanie Wielki Koronny, — pisał Fryderyk II-gi do swego wielbiciela, Jana Klemensa Branickiego, dnia 25 kwietnia 1752 r. — z dużem nieukontentowaniem dowiedziałem się o skargach, jakie WPan zaniosłeś przedemnie z powodu porwania różnych osób, popełnionego przez moich ludzi na terytorjum Polski“.

Ludwik Kalksteyn-Stoliński, służył w wojsku polskiem, był w niewoli moskiewskiej, cieszył się protekcją hetmana Pawła Sapiehy, którego zwykł był nazywać „drogim tatusiem“, a osiadłszy w Prusach, jako starosta olecki, wiódłby żywot człowieka uczciwego, krzewiciela polskiej kultury, gdyby nie władze elektorskie, niemieckie i niemieccy krewniacy, niechętni uznającemu się za Polaka, pułkownikowi. Trzy siostry, zamężne: Kleist, Köller, i Löbel oraz brat rodzony Albrecht dręczyli pułkownika, zazdroszcząc mu włości Kwanten, zapisanej przez ojca generała Albrechta Kalksteyn-Stolińskiego. Przedstawicielkami ideałów polskich w rodzinie, prócz pułkownika Ludwika, nieszczęsnej ofiary zamachu, były Helena i Barbara Kalksteyn-Stolińskie, które wyszły za mąż za dwuch rodzonych braci, Piotra i Antoniego Trzebińskich z Nieciszewa herbu Szeliga.

Pułkownik Ludwik Kalksteyn-Stoliński, prześladowany przez landhofmeistra Wallenrodta, został wyzuty ze starostwa oleckiego; wyjechał wówczas do Wilna, tam planował zamach stanu w Prusach na rzecz Polski, do czego podłożem mogło być ogromne wzburzenie miast pruskich, Mazurów i Litwinów przeciw elektorowi, zmuszonemu siłą zdobywać Królewiec. Niebacznie wróciwszy do Prus ujrzał się Kalksteyn-Stoliński bezradnym wśród wrogów, aresztowano go, później zastosowano areszt domowy; Kalksteyn-Stoliński uciekł do Warszawy, nie mogąc wskutek szykan zapłacić nakazanej wysokiej kary. Reprezentant elektora pruskiego w Warszawie von Koverbeck, nakazał swemu pełnomocnikowi, Brandtowi, udawanie współczucia dla rozgoryczonego Kalksteyna-Stolińskiego.

Wreszcie łudząc obietnicą dania listu żelaznego do Prus, wieczorem 27 listopada 1670 r., Brandt sprowadził nieszczęsną ofiarę na swą kwaterę, gdzie już byli przysłani pruscy wojskowi, wśród których potem haniebnie się „wyróżnił“ pułkownik Henryk Flemming z rodu, pozującego później na arystokrację polską.

Pułkownik Kalksteyn-Stoliński, szlachcic polsko-pruski herbu Kos, został porwany, wywieziony do Kłajpedy i po całorocznem torturalnem badaniu zamordowany. Brandt musiał wyjechać z Warszawy, sejmiki polskie protestowały, wysłano do Berlina w tej sprawie Wojciecha Opackiego, lecz na tem się jedynie skończyło, by stanowić jedynie precedens do daleko liczniejszych podobnych wypadków w XVIII wieku.

Sprawa porywania z Polski przymusowych rekrutów do armji pruskiej, narzędzia politycznego Hohenzollernów, była stale ongi aktualna, ponieważ jednak plebejusze chwytani i wywożeni, by zapełniać szeregi „gwardji olbrzymów poczdamskich“, nie znajdowali wśród rodaków innych oznak współczucia jak protestujące „lauda“ sejmikowe.

Wyjątkowo zdarzyło się, że trzystu Prusaków zostało pobitych pod Kwidzyną przez polską szlachtę i chłopów; raz jednak zorganizowali Niemcy planową wyprawę, będącą odwetem za nieudane porwanie rekrutów i mającą przez fałszowanie rzeczywistości być intrygą w czasie prowadzonych wówczas układów dyplomatycznych Polski z Prusami.

Król Fryderyk Wilhelm sam wezwał niejakiego porucznika von Gröben i wręczył mu rozkaz tajny napadu na klasztor Cystersów w Paradyżu, leżący tuż przy szlaku granicznym z Prusami. Von Gröben, wspólnie z kapitanem von Zastrow, na czele 400 ludzi grenadjerów i huzarów, zaopatrzyli się w 21 wozów, pełnych siekier, młotów, drabin, granatów i po wyrąbaniu bram rozpoczęli rabunek. Ciężko poranieni zakonnicy i wystraszeni pobożni nie mogli stawiać oporu: porąbano wszystko, co dało się przerżnąć, zabrano ornaty, świeczniki, gotówkę, inwentarz żywy, wszystkie zapasy żywnościowe i według zeznań świadków: „W ołtarzu wielkim zostające relikwie świętych Pańskich podczas solenizacji wystawione potłukli“.

Poczem von Zastrow rozkazał księżom, by każdemu żołnierzowi za „dzisiejszą pracę“ dali po cztery złote polskie. Na zakończenie Prusacy, wracając za swoją granicę, zburzyli, stojący po polskiej stronie, Znak Bożej Męki.

Opis tego napadu miał być pomocny dla polityków pruskich, jako dowód nieprzyjaznego oporu Polaków. — Nigdy też nie wrócił do Polski porwany wówczas dzierżawca — sołtys dóbr klasztornych Klincki. — A działo się to dnia 20-go marca 1740-go roku, w 330 lat po Grunwaldzie...

Następca Fryderyka Wilhelma, Fryderyk II-gi stosował wypróbowane ulubione metody. W 1759 roku oddziały pruskie wyparły posterunki polskich wojsk komputowych, strzegących granicy przed dowozem fałszywej monety; wkrótce potem brandenburczycy schwycili na polskiej ziemi i aresztowali jednego z urzędników celnych. Następnie dla ułatwienia sobie

ustępstw w rokowaniach z Polską, za cenę zaprzestania gwałtów, ułożył mąż zaufania Fryderyka, von Brinckenhoff ciekawą procedurę, aby nietylko sprowadzać ludność z za polskich granic, lecz zaopatrywać ją we wszystko na koszt Polaków, według wyraźnego rozkazu jegomości króla pruskiego. Namawiano osadników Niemców lub chłopów Polaków, by uciekli od swego dziedzica; wrazie oporu porywano ich gwałtem i uznawano w każdym razie za imigrantów z Polski do Prus. Przymusowo „uciekający" z Polski miał nakazane przedstawić swoje pretensje do byłego dziedzica; żądania były oczywiście fantastyczne, lecz na ich podstawie były dziedzic otrzymywał formalny pozew, wzywający do bezapelacyjnego zaspokojenia pretensji.

„Ne specjalny rozkaz Jego Królewskiego Majestatu Pruskiego, mego najmiłościwszego Króla i Pana. Rozkazuje się Panu staroście Święcickiemu natychmiast kobiecie Wiese, urodzonej Sotzen, dostarczyć jej należną asystencyę i jej dać, co przez wojskową egzekucyę wykonanem będzie... Królewsko-pruski komisarz (—) B. Buediger".

Natychmiast koło granicy z Prusami rozsypały się po polskich ziemiach lotne oddziały odwiecznie wrogiego sąsiada, siłą dochodzące pretensji. Powtórzyły się sceny z Paradyża: „Egzekucya pruska w Wałczu rezydencyę jezuicką zburzyła, zakonników wypędziła, kościół zapieczętowała".

„U Imp. Niewieścieńskiego, sędziego bydgoskiego, będąc pruscy żołnierze, gdy jeden z nich obaczył figurę ukrzyżowanego Chrystusa nad drzwiami w pokoju wiszącą, zrzuciwszy na ziemię, kańczugiem bił, nogami deptał, na ostatku i połamał. Gdy doniósł o tem Imp. sędzia, odpowiedział komendant, że za taką bagatelę karać żołnierza nie może".

Dowódcami pruskich oddziałów byli renegaci, haniebne wyrzutki bez czci i wiary von Paszkowsky, von Danielevitz; von Kuszell, von Rostkovsky etc.

Dzielnie opierał się renegatom pan Skoroszewski, kasztelanic przemęcki, Mogilnicki i inni; opór imponował niecnym rabusiom. Najgorzej przybysze z za granicy obeszli się ze swoimi ówczesnymi zwolennikami politycznymi, przyjaciółmi Prus: panowie Czapski i Jabłonowski okupili się sumami do 200 tysięcy ówczesnych złotych, a najstraszliwiej pokutował za filogermanizm wojewoda Piotr Sapieha, dziedzic Wielenia, któremu zrabowano wszystko, co dało się unieść, włącznie z żoną, która za skargi na rozbój została osadzona w areszcie w Berlinie.

Lejtnant huzarów pruskich von Malachowsky, przekroczywszy granicę 30 czerwca 1763 r., porwał Stanisława Trąmpczyńskiego, burgrabię nabielskiego oraz ziemian Wiesiołowskiego i Zienowicza, a ich osadziwszy w areszcie, prowadził urojone śledztwa „słowami rażącemi łżył", a wkońcu uwolnił za 475 talarów od głowy na wiadomość o ustępstwach polityków polskich, w czasie ówczesnych rokowań politycznych polsko-niemieckich, które wiódł w Berlinie przedstawiciel Polski Rogaliński.

Wodzono pana Rogalińskiego po antyszambrach pruskich ministrów w Berlinie, stolicy panów Brandenburgji, względnie niedawno zwanej Broniborzem, gdzie ongi bezskutecznie wyciągał stalowe pazury margrabia Gero, władający słowiańską Miśnią i Łużycami. Margrabia Gero, poprzednik Fryderyków, nauczyciel pokoleń prowokatorów, wsławiony morderstwem trzydziestu wojewodów obotryckich, podstępnie zwabionych do siedziby germańskiego satrapy, wówczas, gdy księciem dziedzicem Broniborza był Tugomir, kneź Hołanów. Dziwnym zbiegiem przypadkowych okoliczności, haniebnie osławiony pierwszem liberum veto, poseł Siciński pieczętował się herbem zwanym „Gero".

Jeszcze w 1914 roku między Berlinem i Charlottenburgiem była stacja zwana „Nowawes". Jeszcze obecnie w „Schwarzwald", t. j. na Łużycach żyje stukilkudziesięcio-tysiączna resztka Serbów połabskich; traktaty międzynarodowe niezabezpieczyły praw narodowych tej bohaterskiej garstki potomków gospodarzy słowiańskiej ziemi; nie ma protektoratu nad niemi Polska lub Czechosłowacja. Ale każda zeszpecona zniemczeniem nazwa wsi i miast i ludzi jest pamiątką dawnych granic słowiańskich, przekraczanych przez Niemcow, walczących wszelkiemi środkami zawsze stosowanemi mimo zmiany uzbrojenia i mundurów.

Jakież są ogólne dane umożliwiające zachodniemu sąsiadowi przekraczanie w rozmaity sposób granic, parcie na wschód? Linja wzrostu ludności i linja wzrostu dobrobytu są to dwie linje orjentacyjne w postępach ekspansji niemieckiej; jednakże te linje przeciwstawiają się sobie; obliczenia są tutaj niedokładne; uzgodnienie maksimum obu linij ma dać maksimum ekspansji niemieckiej na wschód, lecz temu przeciwstawić się musi czynnik pozaniemiecki: Wola Narodu Polskiego.

Miłosz Gembarzewski.

VITTORIA COLONNA

(Tłumaczenie z Michała Anioła s. p. Marji Grossek-Koryckiej).

Nie w sercu miłość moja gniazdo sobie zwiła:
Bez serca jest ta miłość, którą mam dla Ciebie,
Nadziemskim żyje trybem, urodzona w niebie,
Gdzie w prochu pełzająca nie podleci siła.

Jak od ognia nie zdołasz oddzielić gorąca —
Nigdy się od Boskości piękno nie oddzieli —
Tem bliżej są mu krewni niebiescy anieli,
Im bliżej forma o szczyt harmonji potrąca...

Kiedy się duch od Boga odrywał przed wieki,
Miłość, aby nasz związek utrzymać na dalej,
Zrobiła mnie oczami, a Ciebie — urokiem.

Więc raj w źrenicach twoich odnajdując wzrokiem,
By odwiedzić te miejsca, gdzieśmy się poznali,
Uciekam pałający pod Twoje powieki!

KOŚCIOŁ BOŻEGO CIAŁA W POZNANIU

Otwarcie pierwszego ogólnokrajowego Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu rozpoczęło się uroczystą Mszą św. celebrowaną przez J. Em. ks. kardynała Hlonda, prymasa Polski, w królewskim kościele Bożego Ciała.

Dzieje tego kościoła połączone są z faktem historycznym, o którym w dzisiejszej Polsce wie niewielu Dobrze więc uczynił proboszcz tego kościoła ks. kanonik Raszkowski, wydając, z okazji Kongresu Eucharystycznego, pracę źródłowo przedstawiającą okoliczności, które wywołały wzniesienie tej świątyni, i jej dalsze losy.

Kościół Bożego Ciała został ufundowany przez Władysława Jagiełłę w r. 1406, a powodem tego zbożnego czynu, jak pisze w dokumencie było: „Okazanie czci Najświętszemu Ciału Pańskiemu, cudownie na tem miejscu znalezionemu, oraz na odpuszczenie grzechów naszych jak i dostojnych królowych Jadwigi zmarłej i obecnej Anny“. Kościół wystawiono na łąkach, trzęsawiskach w pobliżu rzeki.

O cudownem znalezieniu 3 Hostji w tem miejscu pisze historyk Jan Długosz żyjący w latach 1415 — 1480 a więc czerpiący wiadomości od naocznych świadków. Następnie jest mowa o tem w archiwum watykańskiem w dwóch dokumetach Stolicy Apostolskiej z r. 1401 i 1403, w których papież Bonifacy IX, wyposażając kościół Bożego Ciała w liczne odpusty i przywileje, zaznacza wyraźnie, „że cudowne ukazanie ściąga wiele wiernych“.

Na starej tablicy marmurowej jest podany dokładny opis tego zdarzenia a mianowicie:

D. 15 sierpnia r. 1399 pewna kobieta z namowy żydów wykradła z kościoła OO. Dominikanów Hostje św. i żydom oddała. Ci nakłuwszy je nożami, zatrwożeni gdy się z nich krew sączyć zaczęła, zawinęli je w chustkę, wynieśli za miasto i na łąki porzucili. Dowiedzieli się o tem Magistrat oraz Biskup Wojciech Jastrzębiec, który zabrał Hostje i w uroczystej procesji do kościoła św Marji Magdaleny (ówczesnej Fary) zanósł. Po wybudowaniu przez króla Jagiełłę kościoła na miejscu znalezienia i sprowadzeniu doń z Niemiec OO. Karmelitów Hostje tam złożono.

Król bardzo bogato wyposażył kościół, OO. Karmelici doprowadzili go do okazałości i wspaniałości, tak, że w końcu XV w. górował architekturą i bogactwem nad wszystkiemi świątyniami Poznania a wszystkie ówczesne wielkie uroczystości obchodzono w kościele Bożego Ciała. Tu każdy biskup poznański przy obejmowaniu stolicy swej modlił się, prosząc o błogosławieństwo Boże. Tu obydwie kapituły poznańskie przychodziły co rok w procesjach. Lecz świetność kościoła zwolna gasnąć zaczyna. Powodzie i wylewy Warty bardzo go zniszczyły a podczas najścia szwedzkiego za Jana Kazimierza, ostrzeliwany przez odchodzące wojska, uległ pożarowi.

Ostatni ogromny pożar zniszczył go całkowicie pod koniec 18 w. wtedy to ocalono tylko sprzęty i szaty kościelne oraz 1 akt fundacyjny Jagiełły, znajdujący się obecnie w archiwum poznańskiem.

Przyszły wreszcie rozbiory Polski, zaborca rozpędził stróżów i opiekunów królewskiego kościoła OO. Karmelitów a mienie kościelne zabrano na własność państwa pruskiego.

Kilkakrotnie władze próbowały dekretami znanemi ze swej pruskiej bezwzględności zamknąć, a nawet, projektowano, zburzyć świątynię. Kilku Biskupów przeciwdziałało tym zamiarom, ostatecznie oparł się im energicznie ks. arcybiskup Marcin Dunin i dzięki jemu kościół ocalał.

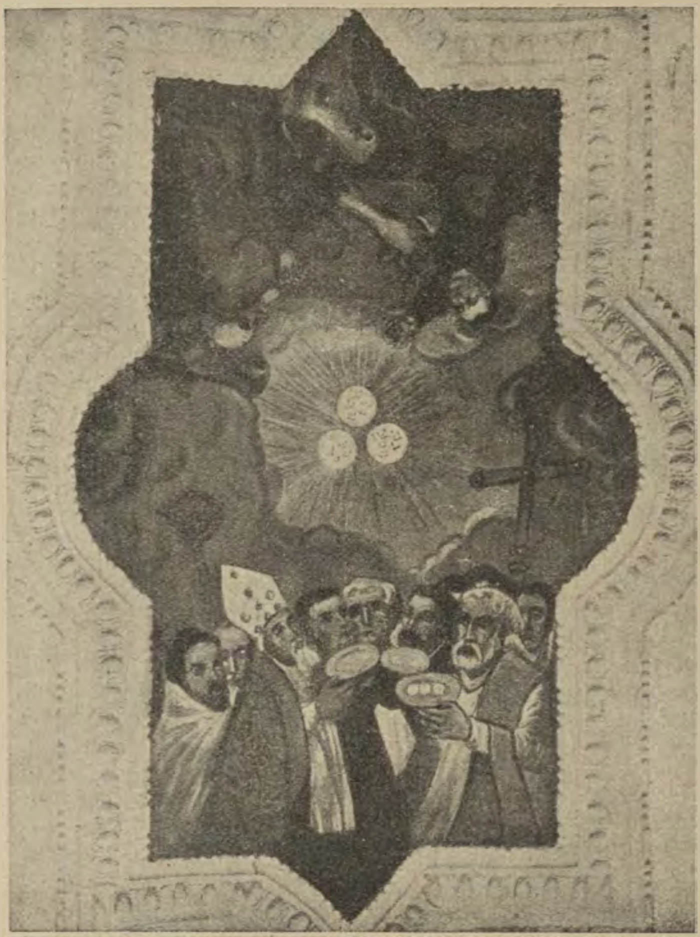


Przez 400-ta przeszło lat OO. Karmelici mieli kościół Bożego Ciała w swem posiadaniu, dźwigając z gruzów po wojnach szwedzkich, po pożarach, aż ulegając pruskiej przemocy uchodzić musieli. W r. 1873 wymarło kilku ostatnich Karmelitów, pozostawionych „z łaski“ rządu jako rezydenci.

W r. 1856 udało się arcybiskupowi Przyłuskiemu osadzić tu OO. Refor. lecz ci przez Prusaków znowu zostali usunięci.

Dopiero arcybiskup Stablewski przeznaczył poklasztorny kościół Bożego Ciała na parafjalny dla okolicznej dzielnicy, a w latach 1922 i 1927 całkowicie go odbudowano i odnowiono.

Kościół ten, wzniesiony w stylu gotycko-wiślanym, na obszernym dziedzińcu, otoczonym staremi drzewami czyni na widzu imponujące wrażenie. Wewnątrz znajduje się wiele starych portretów i obrazów treści historycznej. Istnieją tu stalle bogato rzeźbione i kilka kaplic. Wśród obrazów znajdują się ilustrujące historje od-



Obraz na Stropie. Znalezienie i podjęcie Hostyj.



Odrzwia zakrystji.

nalezienia Hostyj. Na jednem z nich widzimy chłopaka pasącego bydło, gdy ujrzał jasność wielką i unoszącą się w powietrzu Hostję. Bydło uklękło a chłopiec z trwogą padł na twarz. Na innym obrazie wyobrażona jest chwila, gdy Hostje same spadały kapłanowi na przyniesioną patynę.

Takie są dzieje starożytnego tego kościoła, w którym odbyła się pierwsza wstępna uroczystość wielkiego święta polskiego, jakiem był Kongres Eucharystyczny w Poznaniu.

Dzieje te świadczą o gorącej wierze dawnych Polaków. Za zbeszczeszczenie Najświętszego Sakramentu przez zbrodniarzy cały naród poczuł się do obowiązku ekspijacji. Jakże, niestety, dziś jest u nas inaczej.

Alicja Byszewska.

M A T K A

Tysiąckroć droższe z wszystkich słów pod słońcem
Jest jedno proste, skromne, ciche słowo.
Słowo krwią żywą, serdeczną tętniące.
Zmęczone serca krzepiące na nowo,
Będące w bitwach hartowaną zbroją
I smutnej duszy jedyną ostoją.
Słowo kochane, pełne trwałej treści
Słodkie, jak złote winnych jagód grona,
Którem maleństwo rodzicielkę pieści,
Gdy do niej drobne wyciąga ramiona
I ust niewinnych pocałunkiem darzy
I buzię tuli do jej słodkiej twarzy.
Tem słowem — człowiek człowieczeństwo swoje
Wita, bo pierwsze to jest z słów dziecięcia.
Ono tkliwości otwiera podwoje,
Mocą dla chłopa ważkie i dla księcia.
Nawet zbrodniarzom, co zaprzali duszy
To jedno słowo: „Matka“ — serca skruszy.
Gdy wspomną starej matki dobre ręce
To znowu ludzkiem czuciem drży im łono.
Sami zadając mękę — żyją w męce,
A przecież serca im dla „Matki“ płoną,
Bo słowa tego niezłomna potęga
W otchłanie zbrodni i w śmierć samą sięga.
O Matko! bądź ty dziecku swemu chlebem!
Karmę dla duszy daj, przy karmie ciała,
Ty, coś mu kości i krew serca dała
I chcesz, by świat ten pozostał dlań niebem,
O jakiem marzysz w przedświtu godzinie
Nim złote słońce na błękity wpłynie.
O Matko Polko! W twego święta chwili,
Zasługom składa hołd cała Ojczyzna...
Przed tobą, matko dziś swe czoło chyli
Powaga mędrca i starca siwizna,
W sercach, radością jasnych, jak opłatek,
Spiżowy pomnik kując: cześć dla Matek!

Kwiecień 1929

Jadwiga Imielanka.

ŻYCIE RODZINNE KRÓLÓW NASZYCH

Nie było u nas w Polsce ani Diany du Poitiers, ani wszechwładnej we Francji madame Pompadour, to co się odnosi do prywatnego życia naszych królów mówi przeważnie o ich serdecznem pożyciu rodzinnem, i tegoż pożycia radościach i troskach.

Już o Bolesławie Chrobrym wspomina Gall, kronikarz jako bardzo miłował trzecią zdaje się zkolei małżonkę swą, jakąś księżniczkę słowiańską, która niejednokrotnie ratując winnych od gniewu pańskiego ukrywała ich już osądzonych i dopiero po kilku dniach przymilając się wspominała małżonkowi ich imiona, pytała wtedy zaliby chciał, aby ich jaki święty wskrzesił, a widząc jak król żałuje swej popędliwości, przyznawała się — jak to pięknie Szajnocha określa — do pobożnej kradzieży, padała do nóg swemu władcy i wyjednywała tamtym często zupełne przebaczenie.

Kazimierz Wielki miał siostrę Elżbietę, sławną królowę węgierską, za której obrazę nie wahał się stanąć do walki z cesarzem niemieckim wraz z Ludwikiem.

O tyle ukochanej przez naród królowej Jadwidze wiemy, że jej pierścień nosił Jagiełło do ostatniej chwili swego długiego życia, skarbem najdroższym go mianując.

Najszczęśliwszym bodaj z wszystkich królów polskich w domowem pożyciu był Kazimierz Jagiellończyk, co panował u boku swej dobrej i mądrej Elżbiety, cesarskiej córki i siostry, przez wiele lat. Szajnocha w szkicach historycznych opowiada jak czczona i szanowana przez małżonka sama niemal dysponowała rękami córek, jak jasnym była przykładem macierzyńskiej miłości, cnoty i wszelkiej pobożności.

Miłowało się też i później to rodzeństwo, dzieci Kazimierza i Elżbiety między sobą. W dziele Przeździeckiego o Jagiellonkach znajdujemy odpis listu Zofji Jagiellonki, margrabiny brandenburskiej, do Aleksandra, jeszcze wielkiego księcia litewskiego, — który w tłumaczeniu z niemieckiego na polskie m. in. donosi: „posyłam waszej miłości koszulę, którą własną ręką uszyłam, zechciej wasza miłość dla mnie ją nosić“.

Król Zygmunt Stary w przykładnem żył stadle z Barbarą Zapolyą, pierwszą swą żoną. Przechowało się kilka ich listów, które pisywali do siebie czasu gdy król udawał się na zjazd wiedeński. Cicha i niewtrącająca się do rządów niewiasta gorąco tęskni za mężem, a miłościwy jej pan tak do niej pisze:

„Dałby Bóg, aby już nareszcie nie przez listy ani posłów, ale osobiście dano nam było rozmówić się z Waszą Królewską Mością, nie dopuścimy już więcej tego abyśmy choć na krótko i na niedaleką nawet odległość z Waszą Królewską Mością rozłączać się mieli, pociechą nieprzerwanego pożycia wynagrodzimy tę naszą nieobecność, która nam coraz bardziej się przykrzy...“.

Biedna Barbara jednak nie długo się radowała owem „nieprzerwanem pożyciem“, gdyż rychło po urodzeniu drugiej córeczki Anny umarła. Zygmunt długo po jej śmierci nie mógł na jej wspomnienie wstrzymać się od płaczu.

I Bona, druga małżonka Zygmunta, tyle wad i przywar poza nielicznemi zresztą zaletami posiadającą, wierną była żoną. Mimo tylu niechętnych, których na całe setki lat sobie zyskała, nikt o niej nic nie powiedział takiego coby jej czci niewieściej uwłaczać mogło. W ostatniej chorobie króla pielęgnowała najtroskliwiej 83 letniego małżonka, a kiedy w samą Wielkanoc 1548 roku wyzionął zacnego ducha, pisze pełna żałości — tym razem jakże szczerej, do Izabelli córki swej i królowej węgierskiej:

„On wolen jest od wszystkich trosk tego życia. nas ciężkie czekają przygody, bo cóż nam pozostało, płacz, smutek, osierocenie, my straciliśmy pana i najlepszego małżonka, Wasza Królewska Mość i Jej rodzeństwo ojca i dobroczyńcę swego, straciła Polska króla dobrego, łaskawego a przystępnego dla wszystkich... we łkaniach i płaczu na nic nam wszelkie pociechy, jęczymy nad sieroctwem naszem i dzieci naszych“.

Wielkim przykładem rzadkiej siostrzanej miłości są trzy córki Bony córki Zofja, Katarzyna i Anna, sieroty królewskie, znane z tego, że gdziekolwiek iść miała jedna, podążały wszystkie trzy, „jedna gwoli drugiej“.

Zofja, księżna brunświcka, Katarzyna, królowa szwedzka i Anna, królowa polska przez całe życie pisywały nader często do siebie, zwierzały sobie najbardziej osobiste troski, i krzepiły się wzajem radą, z tej to korespondencji niemal głównie utworzył się ciekawy materjał do historji rodzinnej domu Jagiellońskiego.

Jak wątek staroświeckiego romansu snuje się opowieść o królu Zygmuncie Auguście i Barbarze Gastołdowej: włoska piosenka, stare Radziwiłłowskie nad Wilenką ogrody, tajemny ślub, a potem twarda walka Augustowa ze szlachtą i słynne słowa, że jak wiary dochowa narodowi, kiedy ją małżonce złamie...

Tylko że i to szczeście, jak każde ziemskie, rychło śmierć przerwała nieubłagana.

Król Władysław IV, acz despotyczny w domowem pożyciu, gorzko opłakiwał śmierć swej pierwszej małżonki Cecylji Renaty. Po niej to następują dwie królowe Francuzki, które wraz z ojczystą swą kulturą wiele też złego wniosły do chylącej się już ku upadkowi Rzeczypospolitej: energiczna wszystkich i wszystko do swej woli naginająca Marja Ludwika Gonzaga i Marja Kazimiera d'Arqien, bez miary i bez granic przez króla Jana III umiłowana Marysieńka.

Nie było Sobieskiemu zatrudno pędzić z obozu rozstawnemi końmi, by ją na chwilę oglądać, w największym bitewnym zamęcie jej lubił wzywać imienia.

I nie wyszła też krajowi na dobre kapryśna i lekkomyślna samolubna a tak wpływowa królowa, dużoby o tem mówić, co jednakby nie weszło w ramy owych kilku skromnych słów, i twierdzenia że na polskim dworze rodzina i małżeństwo w wielkiej były zawsze cenie. Z ruin się podnoszące wawelskie komnaty, i cuda na warszawskim zamku, nic nam wprawdzie o tem dziś już nie powiedzą, ale trzeba zajrzeć do kronik, a przekonamy się o tem niezawodnie.

J. R.

PODOLA PANI

POWIEŚĆ. (Ciąg dalszy).

V.

Hania Korczyńska, porwana przez Tatarów zemdlała ze strachu i bólu, gdy krępowano rzemieniami jej ręce i nogi. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy po dobrej godzinie, pędząc co koń wyskoczy, znaleźli się na leśnej drodze, prowadzącej do Chmielnika.

Hania była przywiązana mocno do konia w postawie leżącej, usta miała zakneblowane jakąś szmatą. Czuła ból w całym ciele, brakło jej tchu. Zdawało się jej, że kona. Chwilami znowu traciła przytomność, ale wieczorny chłód rychło przywrócił jej zmysły. Wreszcie, późno w nocy oddział tatarski wpadł, cichaczem, do jakiejś wsi i rozpoczął tu swą rabunkową gospodarkę. Z siedzib ludzkich dolatywały rozpaczliwe jęki i wołania... Brano jasyr...

Branka zdawała sobie sprawę ze swego rozpaczliwego położenia. Świadoma była swej niemocy a w półprzytomnym jej umyśle nie świtała nawet iskierka nadziei. Koń tatarski, prowadzony przez jadącego obok starego ordyńca o ohydnych rysach twarzy niósł ją w nieznaną przyszłość niewoli bisurmańskiej.

Podczas, gdy grabiono napotkaną wieś, unikając jednakże palenia chat, by nie wywoływać alarmu w okolicy, kilku Tatarów pozostało z jeńcami w pobliskim lasku. Jasyr składał się z kilkunastu osób. Hania nie mogła jednakże zbadać jacy to ludzie podzielają jej nieszczęście i wraz z nią cierpią.

Dwuch ordyńców po niejakim czasie zbliżyło się do Hani, oglądało ją z zaciekawieniem, szwargotało coś w niezrozumiałej swej mowie, kiwało głowami — poczem gdzieś odeszło. Wrócili niebawem, prowadząc konia. Brankę rozwiązano, wlano jej wody do ust a następnie umieszczono na worach, przywiązanych do grzbietów dwóch tatarskich koników.

Niedługo ruszono w dalszą drogę. Jechano jednak powoli, a o świtaniu zapadnięto głębko w las, gdzie się rozlokowano w zaroślach na odpoczynek.

Dzień cały Tatarzy spali. Czuwała tylko straż, uspakajająca nahajami jęczących brańców i branki. Hani udało się dojrzeć zdaleka skrępowanego mocno Iwasia. Zrobiło się jej nieco raźniej. Więc jest tu choć jedna bliska dusza, chociaż również pogrążona w strasznej niedoli.

Wieczorem popędzono w dalszą drogę. Znowu popełniano rabunki, morderstwa.

Nad ranem Tatrzy dojrzeli jakieś dalekie łuny na południu i rezygnując z dalszego parcia naprzód, skierowali się ku południowemu zchodowi, ale już inną, boczną, drogą. Gdyby Hania mogła zrozumieć tatarską mowę, dowiedziałaby się, iż śpieszą połączyć się z ordyńcami Gałgi-beya.

Tatarzy czuli się teraz pewniejsi siebie i postarali się o wozy, na które naładowano jeńców.

Dzień znowu spędzono w zaroślach nad rzeką, a w dalszą drogę wyruszono dopiero późnym wieczorem.

Taka okoliczność — jak się okazało — zaważyła ogromnie na dalszych losach naszej branki.

Owóż jeńcy byli wiezieni na tyłach czambuliku. Przy zbiegu dróg, w starym dębowym lesie, gdy cały oddział tatarski, skierował na zakręt, z boku na tabory natknął się przypadkowo podjazd polski, wysłany przez starostę latyczowskiego.

Obie strony nie mogły odrazu spostrzec jakiemi są siły przeciwnika.

Jeźdzcy polscy dali do ordyńców ognia i natarli na nich szablami, ale rychło, zauważywszy, iż Tatarzy są w silnej kupie, — pod osłoną nocy znikli w lesie.

Tatarzy, zaniepokojeni atakiem, ukryli jeńców w zaroślach i sami, obawiając się zasadzki ze strony Polaków, zaczęli badać teren okoliczny.

W zamęcie wóz, na którym leżała związana lekko Hania, pozostał tylko pod opieką starego Tatarzyna, który ją pilnował od chwili porwania. Inni ordyńcy byli zajęci swymi więźniami, bądź szykowali się do obrony.

Wóz Hani stał tuż przy zaroślach leszczyny.

Hania modlił się w duchu, sądząc, że wciąż wre bitwa, że Tatarzy ścierają się z pogonią polską.

Dumanie Hani przerwał po chwili jakiś krótki jęk. Stojący obok wozu Tatar padł z podciętym gardłem, rzęrząc cicho.

Zanim mogła zdać sobie sprawę co się stało, z zawozu wychyliła się w cieniach nocy jakaś postać ludzka, która wyszeptała:

— Nie bójcie się, panienko, to ja, Iwaś...

Niespodziewany wybawca w mgnieniu oka nożem przeciął więzy Hani, zdjął ją z wozu i popchnął w zarośla.

— Uciekajmy, panienko, co sił starczy...

Trzymając się za ręce przedzierali się wśród leszczyn i zrośniętych głogów, wśród zwilżonych rosą drzew. — Była to droga trudna i męcząca. Nie mówili do siebie nic, by nie zdradzić się wobec możliwie blisko zaczajonego wroga... Przedzierali się wciąż naprzód, nie zwracając uwagi na wszelkie odgłosy nocnego życia w puszczy.

Z tyłu za nimi słychać było tatarskie ałłachowanie i krzyki. Starali się zbiegowie iść zygzakami, by zmylić ślad.. Trwało to parę godzin.

Wreszcie Hani zabrakło sił. Padła bez życia. Iwaś przeraził się. Zaczął przykładać jej do czoła wilgotne zioła i gdy oprzytomniała — całował jej ręce z radości.

Pogoni nie było słychać. Niebo z za koron drzew wyglądało bledsze, zbliżał się świt...

Nie było jednak mowy o dalszej narazie wędrówce, gdyż Hania musiała odpocząć. Stanęli na niewielkiej leśnej polanie, pełnej pachnących ziół i krzaków...

Tymczasem dzień zwyciężył nocne ciemności i można było rozejrzeć się dokoła.

Iwaś postanowił nie zatrzymywać się na polanie. Silny chłopak przeniósł Hanię na rękach w głąb leśną i ulokował swój ciężar w miejscu, jego zdaniem, najmniej widocznem, pod jakąś spróchniałą brzozę, powaloną przez piorun...

Okrył dziewczynę trawami i liśćmi... Sam zaś udał się na poszukiwanie wody i jadła.

Głodni byli oboje, szczególnie Hania, która dany jej przez ordyńca kęs suszonej koniny przełknąć nie mogła.

Leśne małe źródełko wnet się znalazło. Iwaś, padłszy na ziemię, pił z niego tak, jakgdyby nie była to



NA ŁĄCE

wątpliwej czystości woda, lecz jakiś nektar, przywracający siły i zdrowie.

Czuł się potem lepiej i raźniej, pragnienie dręczyło go, bowiem, przez całą dobę.

Wrócił do Hani i stwierdził, iż dziewczyna spała snem głębokim.

Musi pomyśleć teraz o nakarmieniu jej i siebie...

Zamyślił się. Dziwnem wydało mu się wszystko, co go otaczało...

Porwanie niespodziewane, śmierć starego Macieja, panienka w więzach na tatarskim koniu, potem ta straszna wędrówka z bisurmanami.

Przypomniał teraz sobie dzieje ostatniej nocy. Jak udało mu się, niemal przypadkiem, rozwiązać sobie skrępowane w tył ręce, jak błyskawicznym ruchem umiał wydrzeć ordyńcowi, który zbliżał się do jego wozu, nóż, tkwiący za pasem, jak zrobił straszny użytek z tej broni.

Potem jak również w cieniu leszczyn podszedł do wozu Hani i jak załatwił się z jej stróżem, niewiernym psem tatarskim...

Czyż nie jest dobrym kozakiem, hej, hej! Ani zipnęli obaj takie syny.

Iwaś splunął z nienawiścią rasowego Rusina do swych wiecznych prześladowców i krzywdzicieli.

Gdzie się właściwie znajdowali, nie wiedział. W każdym razie przypuszczał, iż Lityn musiał gdzieś pozostać na wschodniej stronie. A jak daleko do Łatyczowa, Chmielnika, czy Ułanowa... Bóg raczy wiedzieć. Jak tu trafić na drogę, przecież wydostać się z puszczy trzeba, poszukać siedzib ludzkich...

Przypuszczał słusznie, że pogoni tatarskiej obawiać się już nie należy. Jeśli w nocy nie dogoniono w zaroślach — nie dogonią już. Tatarzy przecież nie mieliby czasu na przetrząsanie puszczy. Znowuż niebezpiecznie może znaleść się teraz na szlachu, jak — nazywał Iwaś trakty podolskie. Kto wie czy Tatarzy jeszcze się tu nie włóczą? Słyszał tyle o ich obyczajach i najazdach. mógł mniemać, że raczej oddział ordyńców, zawróciwszy z północy na południe, już więcej tu się nie pokaże. Ale znowuż, kto zaręczy, że nie stanie się inaczej? Może lepiej poczekać w lesie ze dwa dni i nie wychylać się z zarośli.

Po chwili namysłu tak właśnie uczynić postanowił.

Ale czem się żywić? Możeby udało się schwytać jakiegoś ptaka w sidła naprędce sklecone, ale jak zdobyć ogień?...

Byli w pozycji ludzi pierwotnych z tą tylko różnicą, że mieli nóż tatarski, jedyną broń i jedyne narzędzie...

Rozejrzał się dokoła. Przedewszystkiem wpadła mu w oko leszczyna. Orzechy jej były wprawdzie jeszcze zielone ale głód zaspokoić mogły. Zrywał je, łuskał i pożerał chciwie. Pomyślał też i o Hani i przygotował dla niej parę garści tego specjału.

Raźniejszy już począł szukać dalej. I o radości, natknął się na dzikie maliny. Zapasy powiększyły się o doborowy smakołyk.

Gdy się pod koniec dnia obudziła Hania — została nakarmiona i napojona, czem dała puszcza...

Hania odzyskała humor i dowiedziawszy się, że trzeba będzie parę dni pozostać w tych okolicach, nie poszukując dróg do ludzi, wiadomość tę przyjęła ze spokojem.

Nocleg w obawie różnych możliwości Iwaś przysposobił dla Hani na konarach dwóch, rosnących obok siebie grabów. Naciął nożem gałęzi, przymocował je mocno i umieścił na tem pierwotnym łożu swoją panienkę. Sam zaś ulokował się w pobliżu, zaopatrzywszy się w duży sękaty kij, jako broń, na wszelki wypadek.

Noc przeszła spokojnie. Nad ranem tylko spadł deszcz, który przemoczył mocno naszych pustelników. Nie było na to rady... Dopiero i słonko i wiatr ususzyły Hanine szmatki i Iwasiową koszulę.

Dzień następny podobny był do pierwszego. Wyszukali tylko dziuplę, w starym dębie, którą pilnie zbadawszy, uznali za dobre schronisko dla Hani na przyszłą noc.

Pod wieczór spotkała ich niespodzianka. Hania wykryła rój pszczół, dość wysoko w dziupli jakiegoś odwiecznego leśnego patrjarchy.

Iwaś był zwodowym rabusiem „dzikiego miodu“, umiał wybierać zapasy pracowitych pszczółek bez szwanku dla siebie, jednak tym razem sprawa nie była łatwa. Nie miał żadnego środka, zabezpieczającego go od ukąszenia tych owadów. Postanowił więc rzecz tę odłożyć do jutra.

(C. d. n.). *Leon Radziejowski.*

POETA — MYŚLIWY

(Wspomnienie o ś.p. Juljanie Eysmondzie.)

Miałem zaszczyt być przyjacielem ś.p. Juljana Ejsmonda. Wobec kilku dziesiątków lat różnicy wieku i odmiennych w przeszłości warunków życia, sądzić należało, że nic wspólnego mieć nie mogliśmy. Wyrosłem bowiem w środowisku przedwojennem i pod ferułą moskiewską przeżyłem czarne godziny naszej Ojczyzny, później koszmary wojny światowej i rozkwit bestjalstwa rewolty bolszewickiej. Wszystkie te okoliczności winne były wytworzyć odmienne tła psychiki dla mej spracowanej duszy i jego młodej, promiennej indywidualności. Jedynym łącznikiem pomiędzy nami była miłość matki przyrody, namiętność łowiecka, oraz pociąg do pióra. I nic ponadto. A jednakże z nikim — nie odczuwałem bliskości podobnej, prawdziwej „âme soeur", jak w obcowaniu z ś.p. Eysmondem. Młodość i starość doskonale się rozumiały, poniekąd dopełniając się wzajemnie.

Jako żywe przedemną stają „peregrynacje" myśliwskie śród rozłogów i bezgranicznych horyzontów dobrej Ziemi Wołyńskiej, kędy to na zielonej runi ozimin, powleczonej kolorytem smutnej jesieni, pasą się stada dzikich gęsi, nad stawami Borsukowiciemi ciągną chmary przelotnego ptactwa, w tajnikach oczeretów wre tyle życia...

Z jakim uczuciem napawaliśmy się natenczas, widokiem piękna lotu obywateli powietrza, kwileniem skromnej ptaszynki Bożej, w mrokach łozin i szuwarów zaczajonej . A co za atawistyczne emocje oczekiwań odlotu tajemniczych gości krain polarnych...

Właśnie podobne chwile „osamotnienia się" z Tobą, na łonie natury pozostawiły mi najrzewniejsze wspomnienia. Gdyż samotność stanowi probierz duszy ludzkiej. W samotności uwydatnia się stopień „zrozumienia" otaczającego nas piękna przyrody, tak szczodrze nam przez Boga darowanego, a które niestety tak mało się nieraz ceni. Wszystkie, wszystkie „dreszcze" podobne, rozkosznie „prześniliśmy", tylekrotnie „zrozumieliśmy" — biedny mój Przyjacielu...

Nieraz to, o czem nie mówiliśmy nawet nigdy między sobą, owe „misterje" dusz bratnich wytwarzały ten „frisson des compréhensions mutuelles" — jako granitowy łącznik intelektu i serca dwóch tak różnych istot ludzkich. Sekret owej spójni posiadałeś nie tylko w osobistem obcowaniu, ale naradzała się owa łączność także z kontaku z rzeszą twych czytelników... Jeśli oni Cię nigdy nie zapomną, to cóż powiedzieć o tych, którzy mieli szczęście stykać się nie tylko z siłą pisarskiego talentu, lecz, także z ujmującym czarem, tak rzadkiej w dniach dzisiejszych postaci — poety-myśliwego i myśliwego-poety, uwieńczonej myślą przyrodnika.

Jako pracownik na niwie rodzimego łowiectwa zostawiłeś po sobie pomnik śpiżowy. Uczestniczyłeś w opracowaniu i przeprowadzeniu obecnie obowiązującej „Ustawy Łowieckiej". Oczywiście są, i muszą być pewne braki w tej Ustawie, bowiem „nie odrazu Rzym zbudowany", lecz kiedyż nie „kraczą" ludzie zgryźliwi. — Twoja to zasługa, że nareszcie „doczekaliśmy się" prawnego ujęcia zagadnień łowieckich w naszej Polsce... A przy ogólnej obojętności społeczeństwa, wobec poglądu na myślistwo nie, jako na poważny czynnik ekonomiki krajowej, lecz przy lekkomyślnem traktowaniu go, jako „pewnej zabawki", niełatwy był to orzech do zgryzienia. Dziś — pomimo wszystko — posiadamy. Ustawę której zagranica nam zazdrości... I zawdzięczamy to — Twej niezmordowanej pracy i energji.

Jeśli nawet uznać słuszność zasady „errare humanum est", widząc pewne niedokładności Ustawy, to jednakże fundament reglementacyjny mamy, stanowiący granitowe podłoże dalszego rozwoju sprawy, tak bliskiej światu łowieckiemu. Oto dzięki dobrej woli i należytemu zrozumieniu naszego Ministerstwa Rolnictwa i Twoim niezmordowanym staraniom dzieło to stanowić będzie podstawę dalszego rozkwitu rodzimych zwierzostanów. Wielkopomną jest zasługa Twoja i Twoich światłych współpracowników.

W snach gorączkowych mi się nie śniło, że na schyłku życia wypadnie mi pisać o Tobie — wspomnienie pośmiertne, biedny mój Juljanie. Każda strata jest bolesna, szczególnie wybitnej jednostki, lecz wrażenie inne, gdy odchodzi od nas mąż lat poważnych, życiem nieraz przemęczony a gdy gaśnie w zaraniu młoda siła. Ileż to jeszcze mogłaby stworzyć, ile chwil zachwytu czytelnikom darować, blaskiem swego talentu nie jedną smutną chwilę osłodzić, — bodźce „radości życia" wytwarzając.

Oczywiście, serce jednakowo reaguje, ale duch rozumie konieczność pewnej rezygnacji w pierwszym wypadku, odczuwając atoli pierwiastek protestu w drugim... Dlaczego, tak wcześnie — przeszło życie? Pocoś nas opuścił?

Lecz fałszywym jest pełne rozpaczy niechrześcijańskiej podobne założenie. Tacy jak ś. p. Eysmond, nawet doczesnie nie umierają nigdy. Dobytek ich twórczości, — pokoleniom ulgę zapomnień słodkich nieść będzie.

Mistrz i wśród nas żyje wiecznie, w myśli swych tworów zaklęty.

Dzięki Ci Przyjacielu za Twe prace, za Twą miłość ku wszystkiemu co szlachetne, wzniosłe, co tchnie pięknem przyrody. Pozostawiasz dla Twych synków ukochanych, skarb nieoceniony, nazwisko i imię Juljana Eysmonda. Niechże ta „co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej Świeci Bramie", ich smutek utuli. Uczyłeś nas tak gorąco kochać naszą polską przyrodę — za to też, my odpłacamy Ci uczuciem serdecznym.

Spoczywaj w Pokoju! Piewco piękna Ziemi naszej.

Adam Rzewuski.

NIEDZIELA W WARSZAWIE

Wzdłuż zielonych szpalerów czerwone tramwaje
mkną śpieszne, rozdzwonione, huczące, zgrzytliwe.
Wciąż wagon za wagonem na przystanku staje
i wyrzuca gromady, wypoczynku chciwe,

Pełne ławki i pełne ludzi trotuary.
Dobre słońce do wszystkich tak się dzisiaj śmieje!
Idą, suną... Bogaty, biedny, młody, stary —
— zda się, że całe miasto wyległo w Aleje.

Nowy kostjum, kapelusz daje ruchom werwę,
czy to niebo rozśmiane a pełne zadumy?
Czy też myśl, że w codziennych trudach mamy przerwę,
że dziś inne, pogodne, uśmiechnięte tłumy?

Doleci śmiech urwany, lub szept ufny, tkliwy.
Migają w górze barwne grona baloników.
Człek ot tak, bez przyczyny wierzący, szczęśliwy...
Zda się nie słychać gwaru i ulicznych ryków.

Auta głośniej, niż zwykle trąbią i szaleją.
Samolot furczy w górze, dziwiąc śmiałym skrętem.
Nawet konie dorożek dziś raźniej kuleją... —
— Całe miasto się cieszy pogodą i świętem.



Chłop z pod Klecka. Fot. J. Bułhaka.



Chłop z pod Nowogródka. Fot. J. Bułhaka.

FRAGMENT

...Zaszumiał cicho nad polami —
ślizga się łanem, czai miedzą.
Kłosy trącają się główkami,
lecz co im stało się — nie wiedzą...

Zaszumiał wicher nad polami —
przypadł do drzewa przydrożnego:
poczęło trwożnie trząść listkami
nie wiedzieć kiedy i dlaczego...

Tak ludzkie serce drży czasami,
nieokreślonym lękiem zdjęte,
gdy, jak ten wicher nad polami,
targnie niem czucie niepojęte...

SERCE MATKI

Jeśli dla Ciebie bije serce matki,
masz skarb bezcenny, — choćbyś cierpiał nędzę.
Bogaczem jesteś w ścianach — skromnej chatki,
gdy w niej kochanie — snuje trwałą przędzę.
Szczęśliwszyś od tych, — co mają dostatki —
— Nic nie dorówna — miłości potędze.
Jeśli dla ciebie — bije serce matki,
masz skarb bezcenny, — choćbyś cierpiał nędzę...

ALINA KWIECIŃSKA.

PAMIATKA „CUDU NAD WISŁĄ"



Na pamiątkę dziesięciolecia „Cudu nad Wisłą" Mennica Państwowa w Warszawie wybiła artystyczny medal pamiątkowy.

Na jednej stronie medalu widnieje wizerunek Ojca św. Piusa XI, który jako Nuncjusz Apostolski w Polsce w owych tragicznych dniach sierpniowych 1920 r. nie opuścił Warszawy i obecnością swą krzepił ducha w narodzie. Na stronie drugiej wyryta jest mapa Polski. Obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej, umieszczony nad mapą, przypomina Tą, której przemożne orędownictwo sprawiło „Cud nad Wisłą".

Strona propagandowa i wykonawcza akcji związanej z rozpowszechnieniem medalu „Cudu nad Wisłą" polecona została młodzieży akademickiej. Przy Naczelnym Komitecie Akademickim utworzono w tym celu „Komitet medalu Cudu nad Wisłą" (Warszawa, ul. Akademicka 5). Dochód z medalu przeznaczony jest na cele misyjne. Cena zł. 10, z przes. pocz. zł. 11.

Z PISMIENNICTWA

ARTUR GÓRSKI. Glossy o ludziach i ideałach. Warszawa 1930 r. Dom Książki Polskiej.

Artór Górski jest myślicielem rasowo polskim. Jest rzecznikiem ideałów szczytnych i nie rozumie Polski niepowiązanej tysiącznemi nićmi z jej świetną przeszłością. Odczuwa jednak tętno chwili dzisiejszej i pragnie prądy współczesne połączyć w całość harmonijną z naszem wczoraj.

Wybitny indywidualista umie Górcki walczyć odważnie o swe poglądy a jest przytem świetnym stylistą polskim, jakich niewielu liczymy.

Nowej książce Górskiego „Glossy" uderza zainteresowaie się autora kwestjami religijnemi. Staje on w szeregu obrońców Kościoła i Jego roli wychowawczej w społeczeństwie. Głośnym stał się jego list do nauczycieli, w którym wystąpił ostro przeciwko propagatorom szkoły bezwyznaniowej w Polsce.

Ostrzeżenie to przeciw apostołom niewiary ma tę szczególną wartość, że padło z ust człowieka, który niewielu ma równych w odczuwaniu ducha naszego narodu, jego tęsknot i przeznaczeń.

Mistycyzm narodowy autor „Gloss" nic nie jest bynajmniej jakąś mętną nauką mesjanistyczną, wpadającą w sprzeczność z prawdą, głoszoną przez Kościół. Według Górskiego związek duszy polskiej z Kościołem wypływa już z samego naszego charakteru narodowego. Pochodzimy z pnia Słowiańskiego, nigdy nie byliśmy zaborcami, nie odznaczaliśmy się mściwością i okrucieństwem. Zasady moralności chrześcijańskiej przyjęliśmy łatwo, gdyż dusza polska lgnęła ku nim. Całą poezją kultu dobra i piękna złożyliśmy na ołtarzu Ukrzyżowanego Boga i Jego Najświętszej Matki Katolicyzm, nie zatracając swej powszechności stał się religją narodową Polaków.

W „Glossach" porusza Górski cały szereg kwestyj z dziedziny krytyki literackiej i artystycznej. A sąd jego, głęboki i ścisły zawsze jest wart wysłuchania. Dlatego też nowa książka Ar. Górskiego będzie czytana z zajęciem przez szerokie warstwy inteligencji naszej i w przełomowej dzisiejszej dobie dla wielu stać się może drogowskazem, ułatwiającem dojście do skarbów naszej kultury.

(L. R.)

J. TALKO - HRYNCEWICZ. - Z przeżytych dni (1850 — 1908). Warszawa 1930. Dom Książki Polskiej

Jest to pamiętnik znakomitego uczonego antropologji, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obejmuje on czasy popowstaniowe na Litwie i Ukrainie oraz wspomnienia z pobytu na Syberji.. Poza znaczeniem ściśle autobiograficznem, pamiętnik jest poważnym przyczynkiem do dziejów kraju po roku 1863, tudzież zaciekawić może antropologów, interesujących się badaniami prof. Talko-Hryncewicza na Dalekim Wschodzie.



Sassoferrata. *Madonna Pośredniczka (w. XVII)*

Wszechpośrednictwo N. Marji Panny

W ZABYTKACH SZTUKI

Wizerunki Madonny, pod względem ich treści, ich charakteru wewnętrznego, podzielić można na dwie, wielkie grupy: Na wizerunki, w których Madonna występuje jako Piastunka Boża oraz na kompozycje, w których pojawia się jako Pośredniczka, błagająca za grzesznikami.

„Orat pro peccatoribus" — oto jest zasadnicza treść licznych kompozycyj i wizerunków, związanych z kultem Madonny, oto jest podstawowy komentarz do tych zabytków sztuki, pouczający wiernych o roli Bożej Rodzicielki w dziele Odkupienia, streszczający naukę Kościoła o pośrednictwie Najśw. Marji Panny.

Pośredniczką jest Marja w najstarszych Jej wyobrażeniach, pojawiających się zarówno w sztuce katakumb rzymskich, jak i w sztuce wschodniej, bizantyńskiej, znanych pod nazwą Orantki.

W rzymskiej sztuce katakumbowej, Madonna-Orantka należała do najbardziej spopularyzowanego typu Jej wizerunków, zwłaszcza w okresie pomiędzy wiekiem IV a VIII. Orantka rzymska występuje albo w całej postaci, albo w półfigurze i reprezentuje najstarszy typ wizerunków Madonny bez Dzieciątka Je-Jezus.

Ustalenie się typu Orantki w sztuce chrześcijańskiej było dziełem artystów bizantyńskich, twórców mozaik w kościele S. Maria in Porto w Rawennie, w kościele św. Marka w Wenecji.

Madonna Orans posiada strój bizantyński: długą, bogato fałdującą się suknię, oraz ciemną zasłonę (paenula), okrywającą głowę, głęboko zachodzącą na czoło i zasłaniającą w zupełności włosy.

Z tyłu paenula spada aż do stóp, z przodu jest znacznie krótsza i zasłania tylko piersi.

Tak w sztuce rzymskiej, jak i bizantyńskiej, Orantka ujęta jest zawsze frontalnie. Charakterystyczną cechą tego typu wizerunków Madonny jest błagalny ruch Jej ramion, rozwartych i wysoko podniesionych.



Orantka z kościoła w Rowennie.

Ze sztuki bizantyńskiej — Orantka przeszła do sztuki ruskiej. Tak np. na sklepieniu absydy cerkwi św. Zofji w Kijowie widnieje potężna, przeszło 5 metrów wysoka, postać Orantki, wykonanej w mozaice w wieku XII-tym.

Lud ruski widział w tej Orantce z wysoko podniesionemi do modlitwy ramionami, o wyrazie chmurnym, niemal groźnym, spotęgowanym absolutną frontalnością postaci i przepychem monarszego stroju— symbol stałości i niewzruszoności — i dlatego też nadał Jej nazwę „murów niewzruszonych".

We Włoszech, wizerunki Orantki otoczone są po dzień obecny czcią szczególną. Wymienić tu należy zwłaszcza Orantkę z kościoła św. Marka we Florencji, Tę Matkę Miłosierdzia całej Toskanji.

Poczawszy od wieku VI, Orantka pojawia się także w obrazach Wniebowstąpienia Pańskiego. W dziesiątkach obrazów i mozaik, ilustrujących ten moment z dziejów Nowego Testamentu, widnieje w centrum kompozycji, pośród aniołów i apostołów Najświętsza Panna z wysoko podniesionemi do modlitwy ramionami, symbolizujac pozostały na ziemi Kościół Chrystusowy. Taka Orantkę w scenie Wniebowstąpienia Pańskiego widzimy we freskach, zachowanych w katedrze sandomierskiej. Fresk ten stanowi fragment polichromji, wykonanej przez malarzy ruskich z polenia Władysława Jagiełły.

W sztuce późno bizantyńskiej wizerunki Madonny Orans uległy pewnej modyfikacji, pewnej ewolucji form. Ewolucja ta znalazła swój ostateczny wyraz w wizerunkach t. zw. Platytery. Przedstawienia Madonny, określone ta nazwą, różnią się od wizerunków Orantki tylko w jednym szczególe: Oto na piersiach Madonny, w świetlanym kręgu, widnieje Dzieciątko Jezus.

Źródłem przedstawień tej treści były hymny na cześć Bogarodzicy, głoszące chwałę Jej łona, które było mieszkaniem Stworzyciela i Zbawiciela świata. Rozkwit przedstawień Platytery przypada na wiek X-ty.

W sztuce rusko-bizantyńskiej Platytera znana była pod nazwą Blacherniotissy.

Nazwa ta posiada zresztą charakter przypadkowy. Powszechnie czczony wizerunek Madonny tego typu znajdował się w Konstantynopolu, w kościele wzniesionym przez cesarzową Pulcherję. Ponieważ kościół ten pokryty był miedzianemi *blachami*, wyprowadzono stąd odpowiednią nazwę dla świątyni tej i dla wizerunku w niej pomieszczonego.

Przedstawienia Blacherniotissy (zwanej także „Snamenje“) pojawiały się licznie na gruncie sztuki rusko-bizantyńskiej zwłaszcza w wieku XIV i XV.

Orantką jest także Marja w najstarszych wizerunkach stalugowych (ołtarzowych). Tego rodzaju Madonnę bez Dzieciątka Jezus, ujętą w ruchu modlitewnym, w półfigurze, przechowuje kościół św. Sykstusa i Dominika w Rzymie.

Tak więc w najstarszych wizerunkach Madonny zawarty jest wykład wiary o pośrednictwie Najświętszej Panny, o orędownictwie tej „Wszechmocy Błagalnej“, jak zwą Marję Ojcowie Kościoła.

Tradycje wizerunków Orantki przetrwały w sztuce średniowiecznej w formie kompozycyj, przedstawiających Chrystusa jako Zbawiciela i Sędziego świata, w otoczeniu Matki Bożej i św. Jana Chrzciciela, tego największego po Marji, orędownika ludzkości.

W kompozycjach tego typu odzwierciedliła się również nauka Kościoła o pośrednictwie Najśw. Marji Panny. I tutaj Marja jest Orantką, błagającą „pro peccateribus“.

Obrazy tej treści stanowią właściwie fragment większej całości kompozycyjnej, mianowicie „Sądu Ostatecznego“. W najstarszych już bowiem ilustracjach, dotyczących końca świata, stale u stóp Chrystusa widnieją postacie Marji i św. Jana Chrzciciela, wstawiających się za grzesznikami.

W kompozycjach trójfiguralnych, o których mówiliśmy poprzednio, postacie przejawiają się w całej wysokości, lub też w popiersiach.

Uproszczoną formę kompozycyj tego typu tworzą dyptyki, zawierające wizerunki Chrystusa-Salwatora i Madonny-Orantki.

Wymienić tu należy obraz Quintena Massysa, malarza ze szkoły flamandzkiej z XVI w., przechowany w Galerji Narodowej w Londynie, następnie dyptyk Hansa Suesa z Kulmbachu (1476 — 1522) z kościoła w Pownie, obraz Rogiera van der Weyden z Louvru.

Ten typ przedstawień dotrwał bez zmian niemal do końca XVII wieku. Z pierwszych dziesiątków lat tego stulecia pochodzą obrazy Salvatora i Madonny Orantki z kościoła Bożego Ciała w Krakowie. Kompozycje te wyszły z pracowni nieznanego z nazwiska malarza krakowskiego Łukasza, domniemanego twórcy cudownego obrazu Najśw. Marji Panny Ostrobramskiej.



Orantka z Kościoła Św. Marka we Florencji.

Analogicznej treści dwa obrazy pozostawił po sobie (obecnie w zbiorach Sanssouci pod Poczdamem) wielki malarz flamandzki XVII w., Antoni van Dyck.

Echem nauki Kościoła o Pośrednictwie i Orędownictwie Najświętszej Marji Panny są również innego rodzaju kompozycje większych rozmiarów. Zaliczyć do nich należy: Przedstawienia Madonny Opieki (Mater Misericordiae), w których widzimy wiernych chroniących się pod skrzydła płaszcza Najświętszej Panny, następnie przedstawienia Trójcy Św., Raju, wreszcie kompozycje odnoszące się do historji zarazy i ilustrujące gody w Kanie Galilejskiej.

W przedstawieniach „Trójcy Św.“ i „Raju“, podobnie jak w „Sądzie Ostatecznym“, Madonna, w postawie błagalnej klęczy u stóp Chrystusa.

Kompozycje związane z historją zarazy posiadają dwa zasdnicze schematy, które ulegając nieznacznem zresztą modyfikacjom, przetrwały długie wieki.

Jako przykład schematu pierwszego posłużyć może obraz mistrza z Göttingen, z r. 1424, znajdujący się w muzeum prowincjonalnem w Hannowerze. Widzimy tutaj Madonnę klęczącą wraz z świętymi u stóp tronu Chrystusa i zasłaniającą swym płaszczem wiernych od ogromów gniewu Bożego. Gromy te uplastycznił malarz w formie strzał. U spodu kompozycji widać trupy ludzi, zmarłych na zarazę.

W obrazach drugiego typu, u stóp zagniewanego Chrystusa, rzucającego gromy na ziemię, klęczy Madonna, błagająca syna o litość dla grzeszników. Obok Niej pojawiają się często postacie św. Franciszka z Assyżu i św. Dominika.

Aktywny charakter postaci Pośredniczki, uzewnętrzniający się już w przedstawieniach Madonny Opieki i w kompozycjach wotywnych, związanych z zarazą, dobitnie występuje również w wizerunkach „Najświętszej Marji P. Łaskawej“. W wizerunkach tych Madonna dzierży w rozpostartych rękach złamane groty piorunów, widome znaki przebłaganego gniewu Pańskiego.

Pośredniczką jest Marja również w obrazach innego typu, zwanych wizerunkami „Madonny w kłosach“ (w stroju, przyozdobionym kłosami; „Madonna in Achrenkleid“).

W obrazach tych, pochodzących z XIV i XV wieku, podobnie jak w późniejszych przedstawieniach Niepokalanego Poczęcia N. Marji Panny, Madonna (bez Dzieciątka Jezus) pojawia się w całej postaci, z rękami złożonemi do modlitwy. Ubrana jest w długą suknię, przepasaną w biodrach, ozdobioną ornamentem z kłosów pszenicy.

Kult „Madonny w kłosach“



J. TINTORETTO. WENECJA. *Pośredniczka z „Raju"*

posiadał charakter lokalny i rozkwitał w Północnych Włoszech (w Medjolanie), w Bawarji południowej, w okolicach Saltzburga i w Brukseli. W przekonaniu wiernych, ornament widniejący na sukni Madonny symbolizował chlem powszedni, dlatego też lud uciekał się do „Madonny w kłosach" jako do miłosiernej rozdawczyni tego chleba, uczynił z Niej Patronkę i Opiekunkę ubogich.

W istocie rzeczy ornament ten posiada znaczenie inne. Teologowie przyrównywali niejednokrotnie Bożą Rodzicielkę do „urodzajnej dziewiczej ziemi, która wydała owoc najprzedniejszy" („ager, qui non exaratus, fructus protulit pulcherrimos"). Kłosy na sukni Madonny przypominać więc miały „chleb żywota" — to jest Jezusa Chrystusa.

W tem znaczeniu „Madonna w kłosach" stanowi typ pośredni, zespalający dawne wizerunki Orantki z późniejszemi przedstawieniami Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny, których rozkwit przypada na wiek XVII-ty.

Kompozycje malarskie, opowiadające o pierwszym cudzie Chrystusa, zdziałanym na godach weselnych w Kanie Galilejskiej łączą się, — jak już zaznaczyliśmy — z kultem Marji, jako Pośredniczki i Orędowniczki. Jej to bowiem wstawiennictwo, było źródłem pierwszego cudu Zbawiciela.

Niezmiernie charakterystyczną jest kompozycja tej treści Gerarda Davida. Madonna w obrazie wymienionego malarza jest jakby żywcem przejęta z dyptyków, przedstawiających Salvatora i Orantkę.

Orantką, Pośredniczką, jak mówi znakomity teoretyk sztuki kościelnej, Jan Malanus (XVI w.) — jest nawet Matka Boska Bolesna. „Stała bowiem pod krzyżem, modląc się za grzeszników"...

Nawrócenie się dobrego łotra, Dyzmy, przypisała tradycja orędownictwu Najśw. Panny.

W wieku XVII pojawiać się zaczęły inne jeszcze kompozycje, odnoszące się do nauki Kościoła o Pośrednictwie Marji, przedstawiające Dziewicę, śpieszącą z pomocą duszom, cierpiącym w czyścu.

„Marja jest tym bardzo świętym i słodkim węzłem, który połączył Jezusa z ludzkością" — mówi O. R. Marja de la Braise T. J.

„Oprócz obiecanej i nieustannej pomocy ducha św., Jezus zostawił apostołom Matkę swą, Stolicę mądrości, skarb dobrej rady.

Rola Jej nie polegała na rządzeniu, władza i decyzja leżały w rękach ustanowionych przewódców — ale było to dla nich rzeczą pożyteczną i słodką przychodzić do Marji o światło i pociechę".

„Życie chrześcijańskie istniało w duszach nie tylko jako stan indywidualny, ono stawało się społecznem zyciem Kościoła. Organizowała się społeczność kościelna: tworzyły się grupy i klasy, wszędzie można było odczuć działanie Marji.

Nie tylko niewiasty miały do Marji przystęp. Z pewnością przedstawiano Jej nowonawróconych, zwłaszcza wybitniejszych. Nawet nad członkami hierarchji roztaczała opiekę. Zawsze sądzono, że apostołowie korzystali z Jej światłych rad...".

„Marja przeżywała całe to życie Kościoła. Cieszyła się, widząc zebrane pierwsze snopki, zapowiedź wielkiego żniwa narodów“.

„Kościół, walczący i pracujący na ziemi, zostaje w zależności i pod nieskończenie słodkim wpływem Marji, jego Królowej i Orędowniczki niebieskiej, u boku Jezusa.

Jezus jest słońcem, źródłem światła i życia, a „Niewiasta obleczona w słońce“, cała przeniknięta jego blaskami, śle na ziemię jego ciepło i promienie. Żyjąc w chwale Jezusa, przewodniczy po nim i z nim — w stopniu wyższym niż cały Kościół tryumfujący — temu życiu wiary, miłości, świętych dzieł, któremi Kościół wojujący żyje tu na ziemi“.

„Z dnia na dzień widzimy coraz wyraźniej, że Marja wskutek swego współdziałania w dziele zbawienia ma także powszechny wpływ na cały porządek nadprzyrodzony, na każdą łaskę, której nam Bóg użycza“.

„Kościół ma zawsze oczy do Niej wzniesione, uznając przez to Jej władzę bez granic i Jej powszechne pośrednictwo“.

Wiara w ciągłą i czujną opiekę Marji nad całym Kościołem uzewnętrzniła się w sztuce bardzo wcześnie.

Już w mozaikach z V, VI i VII wieku zjawia się Madonna - Orantka, jako postać centralna kompozycji, której skrzydła wypełniają apostołowie. W górze widnieje postać błogosławiącego Chrystusa.

Jak w obrazach Wniebowstąpienia Pańskiego, tak i w tych kompozycjach, Madonna reprezentuje Kościół powszechny.

Tak charakterystyczne dla późno gotyckich przedstawień Zesłania Ducha św., wysunięcie na plan pierwszy postaci Najświętszej Panny posiada swe źródło również w wierze i nauce Kościoła, o Jej opiece nad wiernymi i o Jej pośrednictwie i wiąże się bezpośrednio z kompozycjami, o których mówiliśmy poprzednio. Klasycznym przykładem tego rodzaju przedstawień „Zesłania Ducha św.“ jest obraz hiszpańskiego malarza Pere Serra z katedry w Manresa.

Madonna, ujęta jako postać centralna, zajmuje tutaj całą wysokość obrazu, a wokół Niej zgromadzonych apostołów, przedstawił malarz w formie nieproporcjonalnie małych figurek.

Liczne na gruncie sztuki średniowiecznej kompozycje, w których widzimy Najświętszą Pannę w otoczeniu 14-tu t. zw. „patronów w potrzebie“ (święci: Achacy, Egidjusz, Barbara, Blazius, Chrystoforus, Cyriakus Dionysius, Erazm, Eustachy, Jerzy, Katarzyna i Małgorzata), czerpią swe źródło w wierze w orędownictwo i pomoc Matki Bożej nawet w potrzebach doczesnych.

Każdy z wymienionych patronów posiada ustalony zakres spraw, reprezentuje pewne potrzeby wiernych. Tak np. od zarazy i chorób strzegą św. Św. Roch i św. Jerzy, od ognia i powodzi św. Barbara itd. Święci ci występują jako pośrednicy pomiędzy wiernymi a Najśw. Panną.

Pod wpływem zjawień się Najświętszej Panny na ziemiach Francji w wieku XIX, ustalił się w sztuce czasów ostatnich nowy typ Madonny Pośredniczki, „Szafarki łask wszelkich“:

W przestworzach błękitnych nieskończoności, w powodzi światłości, unosi się Niepokalana, z rozpostartych Jej rąk spływają na ziemię, widniejącą u stóp Madonny, strugi światła, strugi łask...



Madonna w stroju ozdobionym kłosami. Obraz niemiecki z końca XV w.

Od zarania ery naszej, poprzez wszystkie wieki, aż do czasów obecnych, sztuka pouczała wiernych o „błagalnej wszechmocy Marji“, głosiła im, że „Bóg uczynił Ją szafarką wszystkiego, co posiada, tak iż Ona jedna wszystkie rozdziela dary i łaski, dając komu chce, ile chce, jak chce i kiedy chce. To też nikt z ludzi nie otrzyma żadnego daru niebieskiego, któryby nie przeszedł przez Jej dziewicze ręce, albowiem wolą Boga jest, byśmy wszystko mieli przez Marję“ (bł. Ludwik de Monfort).

Sztuka dawna była emanacją wierzeń, przekonań i nurtów uczuciowych, przenikających wieki minione.

W tej żywej księdze przeszłości, krystalizująca się w dogmat wiara w wszechpośrednictwo Marji, odzwierciedliła się z siłą i wyrazistością wręcz wyjątkową.

Dr. Mieczysław Skrudlik

CZĘŚĆ TRYPTYKU W KOŚCIELE BOŻEGO CIAŁA W KRAKOWIE





Chrystus Salvator. *Malarz Łukasz w. XVII* *Madonna Orantka.*

JESIEN

Cisza jakaś senna odrętwiła ziemię,
Martwota jesienna uciska jak brzemię,
Nieruchome lasy rdza pożera chciwa
Na spłowiałe pola babie lato spływa.

Ludzie chodzą cisi — w siebie zapatrzeni,
Ponad niemi wisi — ciężka dłoń jesieni.
Ciężka moc jesieni — zagląda im w twarze.
„Jakież — pyta — żniwa, ziemi-gospodarze?

Ziemi-gospodarze, — Ziemi-wędrownicy
Zaliście gotowi do Pańskiej Winnicy?“.
— — — — — — — — — — — —
Ludzie chodzą cisi — pochylili głowy.
Czują, że z nich żaden jeszcze nie gotowy.

IRENA LELEWEL-FRIEMANOWA.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

ZE SZCZYTU TATR

Nikłym, zawrotnym szlakiem „orlej perci“ wydostałem się na granitowe szczyty Tatr.

Zmęczony nużącą, drogą oparłem się o załom skalny i pełną piersią oddychałem z rozkoszą czystem, górskiem powietrzem. W absolutnej ciszy gór, nieruchomo w dal zapatrzony, pogrążyłem się w dłuższą chwilę cichej, samotnej zadumy.

Do moich stóp od wschodu, zachodu i północy przybiegała Ojczyzna — „piękna nasza Polska cała“— wspinając się wzwyż poprzez pagóry, wzgórza i podniebne wierchy. Niewyraźny zarys pól i równin ginął we mgle odalenia. Migotały ruchliwe wody rzek i strumieni, pokryte jak emalją blaskiem słońca. Dźwigał się w pobliżu na garbach gór z przepaści jarów ogromny, czarny, nieodgadniony dla źrenicy przestwór regli.

Lekko, bezszelestnie dla mojego ucha, kołysał się las smreków, jakby rozważał ze zdumieniem tę wielką prawdę, że z pośród istot żywych on jeden stanowi najstarsze pokolenie w Polsce...

Tuż prawie podemną rozlewała się tafla jeziorastawu, biorąc w swe głębie lustrzane całą zadumę, mrok i kontury wiszące drzew na reglach. Brakło tylko gwiazd na firmamencie dla przypomnienia ballady. „...gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą i dwa obaczysz księżyce...“ (Mickiewicz).

W dolinie, jak pudełka poustawiane szeregiem do zabawy dziecinnej, widniały domy mieszkalne i ledwo dostrzegalni robaczkowie — ludzie...

Mimowoli zestawiłem ze sobą te dwa światy. W przyrodzie, niezależnej od człowieka, podziwiamy zawsze pewien swoisty wdzięk, pełen ładu, harmonji, piękna. Są zapewne w naturze jakby swego rodzaju „rozdarcia“ i zadraśnięcia tej harmonji, ale one łatwo i bez śladu znikają w ogólnym chórze wszechstworzenia. Rządzi bowiem przyrodą:

„Mistrz, co wszystkie żywioły naciągnął jak struny, a wodząc po nich wichry i pioruny jedną pieśń śpiewa i gra od początku“... (Mickiewicz).

Natomiast w świecie zależnym od ludzi, ludzi wielkich czy małych, na każdym kroku spotykamy się z rozdźwiękiem i nieładem, mniej lub więcej psującym ogólną harmonję. Działa tu bowiem wolna wola człowieka, która niekiedy niby pięść potężna umie roztrzaskać i potargać struny lutni, ręką Stwórcy naciągnione i zepsuć, zagmatwać, unicestwić tę nieskończenie cudną pieśń stworzenia.

Niemal bez wyjątku wszyscy ludzie nader chętnie i z uporem lubią kroczyć po swych „własnych“ drogach, nie oglądając się na prawo ni na lewo. Kroczą naprzód, nie myśląc wcale o tem, że ich kroki mogą być za wielkie lub za małe w stosunku do sąsiadów, którzy towarzyszyć im muszą w drodze. Gromko śpiewają swoją pieśń życia, nie zważając na konieczność życiową dostrojenia się do innych. Z okrzykiem entuzjazmu wyciągają ramiona do spraw, które się opłacą sowicie, a nie zdają sobie sprawy z tego, że depcą po serdecznych nadziejach bliźniego. Radosne wybuchy ich śmiechu rozlegają się bardzo często w chwili, gdy gorzkie łzy spływają po licach nieszczęśliwych, a jęk rozdziera serca sierot.

Ludzie szlachetni dążą wprawdzie do tego, żeby harmonja panowała wszechstronnie w ich własnem sercu i w stosunkach z bliźnimi. Dążą do tego samego zazwyczaj wychowawcy, wdrażając w serca i umysły wychowanków zasadę: „Musicie być wyrozumiałymi dla innych dzieci!“.

Nie na wiele jednak zda się to upomnienie, choćby sto razy na dzień powtarzane, skoro dziecko może sobie powiedzieć:

„Wszystko to bardzo pięknie, ale właściwie dla czego koniecznie tylko my dzieci mamy być wyrozumiałe, a starsi nie?“.

Istotnie bowiem niewyrozumiałość w stosunkach jest plagą powszechną. Kamień ustąpi kamieniowi w górach, roślina roślinie, lecz nie ustąpi człowiek człowiekowi. Ludzi niewyrozumiałych dla bliźniego pełne są domy, pełne wioski i miasta.

A gdziekolwiek tylko znajdzie się taki człowiek niewyrozumiały, „nieznośny“, tam znika natychmiast pokój i szczęście. Zapewne, w każdej rodzinie, w każdem społeczeństwie ludzkiem mogą nadciągnąć jakieś obłoki, zachmurzyć się może od czasu do czasu pogodne niebo współżycia. Ale jeśli się to stanie śród ludzi wyrozumiałych, „znośnych“, niebawem obłoki pierzchną. Usunie je łagodny powiew życzliwości. Przeciwnie, ludzie niewyrozumiali, ludzie „nieznośni“ zaraz rozdmuchają najmniejszą chmurkę do potwornych rozmiarów i nasycą ją piorunami burzy. I aż dziwić się wypada, dlaczego ludzie tak mało są wyrozumiali w stosunkach wzajemnych, dlaczego o lada błahostkę mnożą tarcia, wzniecają niesnaski, zwady, kłótnie, posunięte aż do krwi rozlewu... Gdyby więcej wyrozumiałości było pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, narodem a narodem, byłoby więcej zgody, pokoju, harmonji, w następstwie czego byłoby w ludzkości więcej szczęścia.

Kiedy wyniknie rozbrat pomiędzy dwoma ludźmi, zwykliśmy mówić, że obie strony częściowo są winne. Niezawsze jednak tak jest. W kłótni Abla i Kaina, pierwszy był nic nie winien, zawinił drugi. Podobnie i dziś nader często natrafiamy na charaktery tak bezwzględne, samolubne, pyszne, tak — powiedzmy — sękate i kanciaste, że najcichszy człowiek, spotkawszy się z niemi, radby porwać za topór i ciosać blok nieociosany, za słowo obelżywe płacąc słowem obelgi, za niewyrozumiałość niewyrozumiałością...

Stojąc na szczytach myślałem, że i głazy Tatr pod uciążliwym naporem nawałnic — kruszeją. Niełatwo jednak! I dlatego trwają pod niebem, jako wzór granitowy ciszy, pokoju i mocy charakteru dla ludzi...

M.

WRÓŻKA PAŃSTWA ANDRZEJOSTWA

(Bajka). (Ciąg dalszy).

Pani Anieli serce cierpło na te słowa, zwłaszcza gdy słyszała ponowny krzyk dzieci. Biegła, siadała przy kołyskach i poruszała je naprzemian to lewą to prawą nogą, i szyjąc dwa jednakowe czepeczki, śpiewała piosneczkę:

Aa! — kotki dwa
Szare bure obydwa!

I patrząc na bliźniątka, szeptała:
— *Moje, moje kotki, moje obydwa!*

Bo też jedno z nich było szare (była to dziewczynka), a drugie bure (chłopiec), ile sądzić można było z nielicznych jeszcze włosków. Ale ładne były oba dzieciaki, podobne trochę do niej samej, a jeszcze więcej do jej męża. Tylko że mąż miał jeszcze wąsy — i jakie to były wąsy! — nikt takich nie miał na świecie. Wprawdzie trochę kłuły przy całowaniu, ale na to trudno poradzić! A pan Andrzej też bardzo, bardzo kochał swoje dzieci i często je całował — chociaż miał wąsy kłujące...

Urządzono wreszcie chrzciny w Wielkanoc, przez co bardzo wiele zaoszczędzono pieniędzy, gdyż święcone było zarazem i przyjęciem chrzestnem. Wśród gości było aż czworo rodziców chrzestnych, a ponadto wiele, wiele powszechnie szanowanych osobistości. Ku zdumieniu wszystkich obecnych było na stole o jedno nakrycie za dużo, gdyż pierwsze miejsce wcale nie było zajęte. Różne stąd były domysły; tajemnicę jednak istotną znały tylko trzy osoby: państwo Andrzejostwo i — wróżka, dla której, jako dla sprawczyni całego zdarzenia i opiekunki całej rodziny, przeznaczone było to miejsce.

Inna jeszcze łamigłówkę nastręczały same chrzciny bliźniąt, a mianowicie: jakie im nadać imiona. Biedzili się nad tą kwestją rodzice i inne osoby, świadome rzeczy, coś około trzech miesięcy — i to może było też jednym z powodów, że chrzciny odbyły się tak późno. Pan Andrzej aż cztery razy przestudjował kalendarz, otrzymany w darze noworocznym od listonosza, chcąc się dokładnie powiadomić, kiedy ludzie obchodzą swe imieniny. Im więcej zagłębiał się w kalendarz, w tem większym znajdował się kłopocie, bo napotkał już to czterdziestu męczenników, to siedmiu braci śpiących, ale jednego porządnego imienia męskiego i żeńskiego nie mógł napotkać.

Stara Agata, która tymczasem czytywała „Kalendarz Stuletni“, zawierający niechybne przepowiednie deszczów i pogody na sto lat naprzód, znalazła tam Miesopusta i Zapusta, i bardzo jej się te oba imiona podobały, bo przypomniała sobie, jak to i ona w młodszych latach na „rozpust“ do Kalwaryje Zebrzydowskiej chadzała; jednak imiona te były zgoła niestosowne w tym wypadku, przeto na wniosek pani doktorowej Kwintalskiej, postanowiono nadać niemowlętom piękne imiona Abelarda i Heloizy. Zanim atoli rodzice chrzestni doszli z chrześniakami do ołtarza, przyszły Abelard i przyszła Heloiza tak głośno rozkrzyczeli się w babieńcu, że aż ich oboje, w braku grzechotki, kłapułem czyli kołatką wielkopiątkową uspakajać musiano. Z tego ambarasu wszyscy obecni potracili zupełnie głowy i nikt z obecnych, nawet właśni rodzice nie mogli sobie przypomnieć, jakie to imiona wymyślono dla dzieci.

Ksiądz, już przedtem zniecierpliwiony, teraz do reszty cierpliwość stracił, więc aby nie przeciągać obrzędu, dał chłopcu własne swoje imię — Edward a dziewczynkę nazwał Zofją. Imiona te pozostały — nic już na to nie można było poradzić, skoro tak Kościół postanowił... Same dzieci nie sprzeciwiały się takiemu nazwaniu, ponieważ jeszcze nie umiały mówić.

Ale nie pozostało tak raz na zawsze. Za rok i Edzio i Zosia zaczęli już chodzić i mówić; za trzy lata mówiły dzieci nawet to, co nie potrzeba, a Edzio umiał już sam sobie rozpinać guziczki przy fartuszku. Zosi pomagała w ubieraniu jeszcze mamusia, albowiem stara Agata, właśnie gdy pewnego razu odmawiała litanję za umarłych, sama nagle odeszła do tych, za których się modliła... i już nie wróciła... Smutno było bez niej, bo nie miał kto opowiadać bajek; mamusia ich nie umiała, a tatusia nie można było uprosić, chociaż, jak mówiono, umiał bajki układać, a nawet, jak sam mówił, znał się osobiście z wróżką.

Dziwny był czasem ten tatuś: jakby mu niedość było pisania w biurze, zasiadał nieraz do swego biurka w domu i coś tam pisał i pisał; często darł i rzucał do kosza to co napisał, a potem przechadzał się tam i z powrotem, jak to wahadło zegaru w sklepionym pokoju albo ten tekturowy chrząszcz, co chodził na szpuleczce z gumką. Miewał wtedy pan Andrzej bardzo chmurny i posępny wyraz twarzy, jakgdyby się na kogoś gniewał, lub był czemś bardzo zmartwiony. Edzio znał dobrze to zmarszczenie brwi i tę rysę na czole i wiedział, że ta chmura poprzedza często gromy za czyjeś niesforne sprawowanie. Tulił się więc wtedy z Zosią do kąta za szafę i cichutko bawili się w „państwo Gankowskich“. Edzio bywał wtedy panem Gankowskim, Zosia panią Gankowską i mieli dużo, dużo dzieci. Najstarsze z tych niby dzieci w ich zabawie nazywało się Tadzio. Jego wyobrażeniem była taczka do wożenia piasku — miał przeto ów syn pierworodny cienkie, jak bocian, i sztywne nogi, a zato do niemożliwości ruchliwą głowę, która sama na karku fikała koziołki; pomimo to nie był on najhałaśliwszym z rodzeństwa, gdyż przewyższało go w tem ośmiu braci, którzy kolejno po starszeństwie nosili imiona: Lucio, Lancio, Bibuś, Buruś, Plamka, Kwiacio, Józio i Osiołek. Wszyscy oni mieli wygląd barchanowych królików, kotów i innych zwierzątek, wypchanych trocinami, a w żołądkach posiadali niegdyś skrzeczące mieszki, dziś już popsute; uszy ze szmatek często im przyszywała szwaczka Agnieszka, a niektórzy z nich, którzy potracili pierwotne oczy szklane, mieli dorobione inne z zatrzasek lub guzików. W każdym razie w zabawie uchodzili za ludzi, a w ich przydomkach należało rozpoznawać chrześcijańskie imiona: Lucjan, Aleksander, Bogumił, Bronisław, Placyd, Kwiryn, Józef i Oskar. Ten ostatni najwięcej broił, zwłaszcza w klasie, pomimo napomnień poważnego nauczyciela — niedźwiedzia.

Miłe przeciwieństwo względem urwisowskich charakterów swych braci stanowiła jedyna siostrzyczka Talusia. Była ona prawdziwą wróżką opiekuńczą chłopaków i choć najmłodsza, przewyższała inych grzecznością, odznaczała się bowiem wrodzoną delikatnością, jako że była zrobiona z morskiej pianki. Najhuczniejsze wybryki swego rodzeństwa umiała poskromić jednem napomieniem, że trzeba być cicho, bo „dziadzio jest poważny i nasrożony, więc zapewne teraz coś myśli“; natychmiast cichło i poważniało całe męskie grono

(nie wyłączając Osiołka), jakby i ono miało zamiar myśleć.

Niestety, ku ogólnemu zmartwieniu, pan Andrzej coraz częściej zaczynał myśleć. Często siadywał po nocach i coś tam pisał, a nazajutrz rano miewał od niewyspania oczy czerwone, jakie mają króliki i jakie miał Plamka, zanim je zastąpiono mu dwoma guzikami: blaszanym i nicianym. Męczył się i trapił pan Andrzej; żona niepokoiła się o jego zdrowie i dzieci smuciły się, że się nie mogą bawić tak jak przedtem, a zapewne i młodzi „Gankowscy" byliby współczuli, gdyby w swych zmiętoszonych i mocno pocerowanych piersiach mieli serca zamiast trocin. Pan Andrzej atoli dobrze wiedział, że najwięcej ze wszystkich współczuła z nim wróżka; głos jej teraz, zapewne od starości, był już chrapliwy i skrzypiący, jak zużyte upióro do pisania, a głosem tym często dawała swemu ulubieńcowi jakieś przestrogi, jak niegdyś Mademoiselle Patatrac przy dyktowaniu zdań francuskich. On jednak nie słuchał, tylko pisał i pisał, a co w nocy napisał, to rano darł w kawałki, głęboko wzdychając. Podobny był w tem do jakiejś księżniczki z bajki, co w dzień szyła suknię, a w nocy pruła, bo się bała wyjść za mąż.

Pewnego dnia zasiadł tak do stolika i długo się nad czemś namyślał, mając przed sobą otwarty gruby zeszyt, a w ręce pióro, po kilkakroć już nadaremnie maczane w atramencie; atrament raz po raz obsychał na stalówce, a na otwartej stronicy zeszytu nie przybyła jeszcze ani jedna kreska, prócz dużego kleksa, mającego postać żyrafy (w pomniejszeniu). Twarz piszącego była tak smutna, że Zosience wydawało się, iż jej niedługo z żalu nad tatusiem łzy z oczu spadną, jak te kleksy atramentu na papier. Podeszła więc na paluszkach, przesunęła się ojcu pod ramię jak łasica, a znalazłszy się na jego kolanach, zarzuciła mu rączki na szyję, pytając:

— Tatulku, czemu jesteś taki smutny?

Nie odpowiedział nic na to pan Andrzej, tylko smutno się uśmiechnął i pocałował córeczkę w czoło. A ona szczebiotała dalej:

— Poco tatuś właściwie myśli? To wcale nie jest zdrowo; tylko łysinka stąd rośnie — sama mamusia mi to mówiła. A ja jeszcze tatusiowi powiem, że tatuś nie powinien nigdy pisać, bo tatuś jest wtedy smutny i zagniewany, a ja chcę, by mnie tatuś zawsze kochał... i Edzio też chce, tylko boi się powiedzieć... Kiedy ja będę duża, to nie będę nic myślała i nie będę się uczyła pisać!... Pisanie to rzecz bardzo niedobra!

Jeszcze przez chwilę (naostatek) myślał pan Andrzej, aż nakoniec pacnął się dłonią w kolano i rzekł:

— Masz rację, Zośko! Ja nie powinienem pisać — i nigdy nie będę!

I porwawszy zeszyt, leżący na stole, rzucił go do palącego się pieca. Płomień w jednej chwili ogarnął stronice, tak, iż za chwilę pozostała tylko szarawa warstwa, po której gdzieniegdzie błądziły popielate kreski — ślady liter...

Zosia odtąd pozostała wierna swej niechęci do pisania, co okazało się zwłaszcza wówczas, gdy zaczęła uczęszczać na pensję. Nie uczyła się nigdy kaligrafji i bazgrała, jak kura pazurkiem, do nauki też się nie przykładała, zwłaszcza tam, gdzie trzeba było dużo myśleć. Nauczyła się za to grać na fortepianie i to nietylko: „Wlazł kotek na"... i t. d., ale nawet wielce smętną i rzewną pieśń: „Ach, gdzieżeś ty, mój arlekinku mały?" Wśród tej pieśni zawsze robiło jej się smutno, zwłaszcza gdy dochodziła do słów: „ja tęsknię do cię, królewiczu mój"... Wtedy i ona tęskniła do jakiegoś królewicza, którego wprawdzie nie widziała nigdy na oczy — boć nastają czasy republikańskie i coraz mniej na świecie królewiczów, jak i mniej wróżek — ale którego w myśli nazywała Arlekinem. Była pewna, że go kiedyś zobaczy i że wtedy nie będzie za nim tęskniła, bo on będzie z nią nazawsze; równocześnie jednak nie wiedziała, czy będzie mogła rozstać się ze swoją tęsknotą, która była jej najmilszem i najpierwszem uczuciem. Codziennie, gdy budziła się ze snu, nie chciało się jej wstawać odrazu, ale zawsze czas pewien przytulała się do ciepłej poduszki i marzyła. Oczekiwała, pragnęła kogoś — niemal go kochała....

Przeszło lat parę i zjawił się wreszcie — wprawdzie nie królewicz, ale ktoś taki, kogo dawno oczekiwała i pragnęła. Nie nazywał się Arlekin, ale Adaś. Miał on głos miły i śpiewał ładnie; najchętniej zaś śpiewał przy akompanjamencie fortepianu ową piosenkę o arlekinie, tak bardzo ukochaną przez Zosię. Gdy ona, zasiadłszy przed klawiaturą i otwarłszy nuty, prosiła:

— Panie Adasiu, niech pan dla mnie zaśpiewa! — wtedy on, szarmacko się kłaniając, odpowiadał:

— Dla pani — zaśpiewam!

I śpiewał, śpiewał, śpiewał, nie mając litości nad biednym Arlekinem, któremu wciąż kazał się smucić... Co gorsza, sam zaczynał być smutny i często twarz jego stawała się jeszcze ciemniejsza niż była sama przez się; więc też Zosia (którą czuła zawsze sympatię do ludzi smutnych), chcąc pocieszyć pana Adasia, powiedziała mu, że go kocha. On też jej się przyznał, że ją kocha, a potem oboje przyznali się rodzicom, którzy zgodzili się chętnie, by młodzi się pobrali. Ponieważ jednak pan Adam miał przed sobą jeszcze cztery lata studjów, przeto odbyły się tylko zaręczyny, a ślub miał się odbyć po ukończeniu uniwersytetu przez Adasia. Oj, ta nieznośna i marudna nauka! Jakże na nią i teraz utyskiwała Zosieńka!

Atoli ledwo pan Adam skończył uniwersytet, powołano go do wojska, gdzie miał odbywać służbę jednoroczną. Bawić się w wojsko lubi chłopak, bo to jest rzecz znaprawdę bardzo przyjemna; ludzie starsi są jednak do tego stopnia nudni, że nie umieją i nie lubią się bawić, to też pan Adaś nawet się nie ucieszył, że dostał ładne nowe ubranie i prawdziwy karabin, tylko ustawicznie skarżył się w listach do Zosi, że mu w tem wojsku markotno. Ale nie dosyć na tem. Wybuchła prawdziwa wojna i jednoroczna służba pana Adasia przeciągnęła się na lat kilka. Wyjechał wówczas gdzieś daleko i wojował z tymi Chińczykami, co to noszą warkocze, jak panny, i których cesarz chował słowika. Pisał o tem Adaś do Zosi, a ona, choć pisania nie lubiła, jednak każdego listu wyczekiwała z utęsknieniem i codzień wybiegała przed dom, patrząc, czy tam na drodze nie widać listonosza. I ona też pisała dużo o sobie, o tatusiu i mamusi i też miała nadzieję, że jakaś wróżka sprowadzi jej ukochanego — ale napróżno czekała i czekała... I pisała również, że w domu po raz pierwszy, odkąd ona pamięta, zakwitł prześliczny aloes, podarowany przed wieloma laty rodzicom przez dobrą wróżkę.

— Tatuś i mamusia — donosiła Zosia — uważają to za dobry znak, a mama płacze z radości, kiedy na kwiaty te patrzy... i codzień je liczy... bo mówi, że tyle będę miała... ale czego, to Ci nie napiszę, bo się jeszcze wstydzę ,a powiem Ci dopiero, jak będziesz moim mężem... A są te kwiaty białe i różowe; jeden z nich posyłam Ci na pamiątkę...

Nie odpisał Adaś, czy kwiatek otrzymał — niegrzeczny, nawet nie podziękował! Zosia była zrazu smutna i zdziwiona, później zaczęła się niepokoić

i trwożyć. Chciała pojechać tam do kraju Chińczyków i okazać się grzeczniejszą od Adasia, a zarazem sprawić mu niespodziankę swem przybyciem.

Została więc siostrą miłosierdzia: pielęgnowała chorych i uczyła się sztuki lekarskiej, bo miała zamiar pojechać na tę wojnę, do niego, do niego! I ta Zosia, która dawniej nie chciała myśleć o niczem, teraz często stawała się zamyślona — myślała i myślała, choć nic wymyślić nie mogła. Ojciec chrzestny, doktor, zaczął mówić, że jej zdrowie się psuje, że nie powinna się zamęczać pracą i smutnemi myślami, że jej potrzeba zmiany powietrza i że powinna natychmiast jechać do Zakopanego, bo ma początki suchot....

Załamała ręce pani Aniela, gdy to posłyszała; czemprędzej przeto wysłała Zosię w góry. Umieszczono chorą w wielkim i wygodnym domu leczniczym; był tam rozległy i przepiękny widok na góry, były wszelkie wygody i przyjemności; jej wciąż jednak brakowało Adasia i — zdrowia, które stawało się coraz gorsze. Płakała sama po nocach i wszyscy nad nią płakali, bo wszyscy kochali dobrą Zosię... Ale nie było przy niej tego, kto najwięcej ją kochał.

Późną jesienią odwieziono nieprzytomną i gorączkującą Zosię do rodzinnego miasta, bo doktor napisał, że już niema ratunku. Nad jej łóżeczkiem czuwał pan Andrzej z żoną — Edzia nie było, bo też go wzięto do wojska. Pan Andrzej szeptem wciąż rozmawiał z lekarzem, pani Aniela modliła się we łzach dniem i nocą... Zosia nie słyszała tego wszystkie, tylko nieustannie uśmiechała się i z kimś rozmawiała w gorączce... twarzyczkę miała tak białą, jak te kwiaty aloesu, co stały u jej wezgłowia. Potem i mówić już nie mogła, ostatnie jej westchnienie było ciche, jak szelest spadających płatków kwietnych i duch jej odpłynął błogo ku niebu, jak ta woń z nad kwiatów...

Pani Aniela, szlochając, ubrała córkę w tę białą sukienkę z welonem, co wisiała w szafie wiśniowej na prawo... a potem złożyła biedne, zimne ciało w drewnianej, skromnej trumience... Pan Andrzej schylił nisko, bardzo nisko swą nadsiwiałą, łysawą głowę i w milczeniu oparł czoło o nóżki Zosieńki... Cicho, bardzo cicho było w Zosinym pokoju... za oknem jęczał wiatr, a szyby całe były spłakane od deszczu. Koło trumienki skwierczała cicho i syczała świeca woskowa — pamiątka niegdyś pierwszej Komunji — i chwiała na wszystkie strony swą głowę z płomienia... Aloes tylko, rozkwitnięty i świeży jeszcze, dziwił się, skąd tyle łez i smutku w małem mieszkaniu państwa Andrzejostwa.

Jeszcze dawniej, na parę miesięcy przedtem, gdy w odległej Mandżurji piaski dopiero się zaczęły okrywać skąpą, choć wiosenną, zielenią, w jednym z bataljonów na froncie czytał dowódca żołnierzom rozkaz dzienny w jakimś obcym języku. Była tam wzmianka, że dnia... marca... roku... padł w bitwie podporucznik Adam N... Ale tego rozkazu dziennego nikt Zosieńce nie odczytał... Nie doszedł...

V.

Płynęły lata za latami, za smutkami smutki, rzadziej radość za radością. Państwo Andrzejostwo coraz więcej lat, smutków i radości, notowali w kalendarzu swego życia. Co do lat niełatwo było im się pomylić, gdyż oznaczali je liczbą wnucząt. Edzio bowiem wrócił z wojny i przywiózł synową, bardzo miłą i ładną. Młodzi państwo Edziowie byli przykładnem małżeństwem, to też w nagrodę otrzymywali co roku na przemian to chłopca (w lata parzyste), to dziewczynkę (w nieparzyste). Wreszcie było już tyle tych dziewczynek i chłopców, że kto miał tylko dziesięć palców u obu rąk, ten nie był w możności doliczenia się; spamiętać ich imiona było jeszcze trudniej, bo nawet sama pani Edziowa często się myliła i dopiero, gdy każdemu z dzieci oznaczyła spodenki lub spódnickę inną literką, omyłki stały się rzadsze.

Ale że w domu było za wiele hałasu, przeto Edzio, który pisał wiele rachunków kupieckich, nie chcąc by mu dzieci przeszkadzały, posyłał je często na cały dzień do dziadków. Pan Andrzej, który przez lat wiele był dyrektorem biura, gdzie pracował, dosłużył się przez ten czas emerytury, więc miał dużo czasu wolnego i chętnie go spędział na zabawie z dziatwą.

Jakimże rajem było dla dzieci mieszkanie dziadków! Było gdzie bawić się w kryjówkę i łapankę, a nawet w pociąg, złożony z krzeseł, któremu za lokomotywę służył stary dziaduniowy fotel na biegunach. Dziaduś sam brał udział w zabawie i coraz to nowe wymyślał igraszki, a gdy się wszyscy zmęczyli, wtedy sędziwa pani Aniela ustawiała dzieci w ogonek, jak przed sklepem w czasie przedświątecznym, całowała je po kolei, a po ucałowaniu wsuwała każdemu do buzi po cukierku.

Jak każdy raj, tak i mieszkanie dziadków miało swoje drzewo zakazane — była niem szafa wiśniowa. Babcia, która jedynie miała do niej klucz — i to ukryty w pęku kluczy, wiszących bardzo wysoko pod sufitem, nie pozwalała nikomu do niej zaglądać; była więc ta szafa tak tajemnicza i niedostępna, jak jaskinia Ali-Baby, z tą różnicą, że nikt nie znał czarodziejskiego wyrazu, któryby zdołał ją otworzyć. Żadne z dzieci nie wiedziało, co zawiera jej wnętrze, lecz wyrobiło się powszechne mniemanie, że jest to mieszkanie wróżki, o której tyle opowiadał pan Andrzej i pani Aniela.

Na wszystko jednak są sposoby. Wiedział o tem Staś, najstarszy z wnuczków, który uczęszczał już do drugiej klasy i nawet przeczytał do końca „Wyprawę po skarby ukryte"; ułożył przeto plan, który powierzył swemu młodszemu bratu, Zygmusiowi. Jednego popołudnia niedzielnego wyszli z domu państwo Andrzejostwo, udając się na nieszpory. Obaj spiskowcy skorzystali z tego i jak Robert i Bertrand, dwaj złodzieje, chytrze wykonali swe zamysły. Ustawiwszy krzesła jedno na drugiem, nogami za poręcze, w tak zwanego „wielbłąda", z łatwością dosięgli sufitu i zdjęli klucze; gorzej poszło z otwieraniem szafy, gdyż przez pół godziny trzeba było dobierać klucze, zanim się znalazł klucz właściwy. Drzwi, otwierając się, zaskrzypiały, a raczej zachichotały jak żywa istota, tak iż obu braci dreszcz przeniknął. Cóż dopiero, gdy zajrzeli w głąb szafy! Co tam śliczności, co skarbów!

Po prawej stronie szafy znajdowały się różne ubrania, po lewej było pięć półek, jedna nad drugą. Na dole były rzeczy najmniej ciekawe, bo tylko jakieś kamienie w pudełkach, zaopatrzonych w przegródki, oraz papierki z niezrozumiałemi napisami; zato wyżej, na półce drugiej od dołu, były rzeczy ciekawsze, bo książki z obrazkami — niektóre z tych obrazków przedstawiały małpy i papugi, a inne jeszcze dziwniejsze jakieś potwory, zwane mapami, pełne plam niebieskich, zielonych i brunatnych. Na co też to komu potrzebne!...

(c. d. n.) **Józef Birkenmajer**

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

350-LECIE ŚMIERCI CAMOEUS'A

W dziejach literatury, nietylko swojej ojczyzny, Portugalji, ale i świata imię Camoeus'a, twórcy narodowej epopei „Os Lûsiadas" (1572), jest dobrze znane.

Kiedy więc ziomkowie tego poety obchodzą, w tym roku, rocznicę 350-lecia śmierci jego, nie godzi się, by ta rocznica i u nas przejść miała bez echa.

Lûis Vaz de Camoeus urodził się w 1524 roku w Lizbonie, a jako młodzieniec odznaczał się wybitną znajomością klasycznej kultury, którą pogłębił studjami humanistycznemi na uniwersytecie w Coimbrze. W tych czasach, prócz języków portugalskiego i hiszpańskiego, poznał dobrze języki łaciński i włoski. Na uniwersytecie już próbuje swoich zdolności poetyckich tworząc, piękne, stylem i formą, cauzony. Z Coimbry wraca, pełen już poetyckiej sławy do Lizbony, gdzie pisze szereg mniejszych poematów, zebranych w „Canzioneiro".

Nie długo bawi w rodzinnem mieście, i cieszy się powodzeniem, naraziwszy się królowej, zostaje skazany na wygnanie. Jedzie do Afryki, gdzie bieże udział w licznych walkach. Do poetyckiego wawrzynu dodaje glorię bohaterstwa. Na wojnie traci oko. Po dwu latach wraca z wygnania, by niebawem, wskutek dworskich intryg, dostać się do więzienia, gdzie pozostaje przez rok.

Uwolniony, nie pozostaje w ojczyznie. Jedzie do niedawno przez Portugalczyków odkrytych - Indyj. Ale i tu los mu nie sprzyja. Okręt, którym jedzie rozbija się. Tuła się po Azji, by w 1570 r. powrócić znękany, do Lizbony.

Dzieło jego życia, jego radość, duma i sława — narodowe epos „Os Lûsiados" wychodzi w 1572 roku Pierwsze nad niem prace rozpoczyna Camoeus, prawdopodobnie, jeszcze na wygnaniu; podczas rozbicia się okrętu traci drogocenny manuskrypt, jednak nie zaprzestaje tworzyć i po powrocie do ukochanej, jakkolwiek niewdzięcznej, ojczyzny — wydaniem „Lûsiady" utrwala sławę Portugalji i swojego imienia — na kartach światowej literatury.

„Lûsiada" (pisana w 10 pieśniach) jest przepysznym hymnem na cześć Portugalji, jest bowiem pierwszym utworem, pisanym w języku portugalskim, wznoszącym poezję narodową na właściwe wyżyny sztuki. Epos to, przetłumaczone na wszystkie niemal języki europejskie, zostało trzykrotnie przełożone na język polski: w 1790 r. przez Jacka Przybylskiego, 1876 r. przez D. Piotrowskiego i 1890 r. przez Adama M-skiego.

Prócz „Os Lûsiadas" i „Cancioneiro" pozostawił Camoeus zbiór p.t. „Rimas" (sonety, cauzony, ody it d.) i trzy komedje wzorowane na Arystofanesie i Plutonie.

Mimo sławy, Camoeus nie zaznaje spokoju w ojczyznie. Trudności finansowe, wypadki w kraju, który zostaje w 1578 r. pogromiony haniebnie przez Hiszpanów, wszystko to przyczynia się do moralnych cierpień poety, kochającego kraj swój i pragnącego widzieć go wielkiem i rozwijającym się; na kilka lat przed śmiercią przestaje zupełnie tworzyć.

Ten, co Portugalji przyniósł wielką sławę — umiera w ostatniej nędzy. Zaledwie licząc lat pięćdziesiąt, dogorywa na szpitalnem łożu w Lizbonie, tknięty morową zarazą w 1580 roku.

Wprawdzie twórczość Camoeus'a nie wywarła wpływu na kształtowanie się polskiej literatury — ale, jako twórca największego i najpiękniejszego dzieła, jakim nietylko szczycić się może Portugalja, które weszło na kartę dziejów literatury światowej, nie może przejść, w tym roku, trzy i pół wiekowej rocznicy od jego smutnej śmierci, u nas w Polsce pominięty milczeniem. **A. O.**

BEZWSTYD P. BENOIT.

Przed kilku laty znaczną poczytnością cieszył się w Polsce jak zresztą i w innych krajach, romans pisarza francuskiego p. Piotra Beniot p. t. „Atlantyda". Walory tego utworu pod względem moralnym były na ogół bardzo wątpliwe. Jedyną dodatnią jego postacią był kapitan francuski gorliwy katolik przepłacający życiem niezłomność swych zasad chrześcijańskich.

„Atlantyda" stała się jeszcze bardziej popularną jako obraz filmowy. Ale jednocześnie pojawiło się oskarżenie, że „Atlantyda" jest zwyczajnym plagiatem. P. Benoit zdołał jednakże jakoś załagodzić sprawę i ogłaszał w dalszym ciągu swe sensacje, niezdrowe powieści.

Dostały się utwory p. Benoit i do Rosji Sowieckiej, co jest zrozumiałe ze względu chociażby na afiszujący się filosemityzm tego autora (P. Benanit w jednej ze swych powieści nawet z głośnej uczonej Polki, p. Skłodowskiej - Curie — zrobił żydówkę). Ale łaska Sowietów na pstrym koniu jeździ. Doczekał się przeto p. B., że jego powieści „Atlantyda" i „Alberta" dostały się w Rosji na indeks komunistyczny jako utwory przesiąkłe „duchem burżuazyjnym".

Dotknęło to p. Benoit, wystąpił więc z listem otwartym do p. Cziczerina, protestując przeciw sowieckiej niesprawiedliwości i podkreślając swą w tym wypadku bezinteresowność meterjalną. Rosja mu za przekłady nie płaciła, a jedynym skutkiem wejścia w bliższe stosunki z ambasadą Sowiecką w Paryżu, było otrzymanie w prezencie puszki doskonałego kawioru. Inni autorzy, — żali się p. B. — byli podobno szczęśliwsi.

Ale pomimo „Sowieckiego skąpstwa", p. Benoit starał się swym moskiewskim przyjaciołom przypodobać. Oburzając się, iż „Alberta" stała się w Rosji książką zakazaną, pisze on do p. Cziczerina.

— Tu niespawiedliwość przeradza się w niewdzięczność. Zwykły dramat mieszczański. Teściowa zakochana w zięciu bardzo mało sympatycznym. Sądziłem, Ekscelencjo, że pozyskam sobie ostatecznie życzliwość pańskiego rządu, czyniąc tego zbrodniczego zięcia Polakiem...

Naszem zdaniem podobnie cyniczny stosunek autora francuskiego do Polaków, narodu sprzymierzonego z Francją, winien być napiętnowany nie tylko przez Polaków, ale i Francuzów.

Trzeba być rzeczywiście człowiekiem odartym z honoru i wstydu, by, popełniwszy czyn niesumienny, przyznawać się do tego publicznie i wspomnieć komuś, iż nie ocenił intencji paszkwilu.

Odpowiedzą ze strony polskiej winno być natychmiastowe usunięcie z czytelń piśmideł p. Benoit i nie sprzedawanie jego książek przez szanujących honor swego narodu księgarzy polskich. O tłumaczeniach oczywiście nie powinno być nigdy mowy. Ponieważ w Polsce książki francuskie chętnie są czytane, odbić się to musi na na kieszeni amatora sowieckiego kawioru p. Benoit. Wartość zaś owych dzieł tego autora jest taka, iż nie będzie żadnej szkody dla nas, jeśli jego powieści czytać nie będziemy. Przeciwnie, zyskamy nawet, nie dotykając rzeczy nie odznaczających się moralną czystością. **l. r.**



NA FALACH CZASU

Odległość między Starym a Nowym Światem coraz bardziej się zmniejsza. Po zwycięskiem przeleceniu Atlantyku przez samoloty, po tryumfie niemieckim, jakim był przed rokiem przelot Zeppelina, wykazujący możliwość wprowadzenia stałej komunikacji powietrznej między obu lądami zapomocą wielkich sterowców t.j. balonów opatrzonych motorami i sterami, przyszła obecnie kolej na podobny tryumf Anglji. Sterowiec angielski „R. 100" odbył zwycięsko przelot z Anglji do Kanady i zpowrotem, przez co nietylko potwierdziło się, że regularna komunikacja powietrzna zapomocą sterowców jest o wiele łatwiejszą w tej chwili do zrealizowania niż zapomocą samolotów, ale zarazem wydarty został Niemcom monopol, jaki w tym rodzaju komunikacji dotychczas dzięki swoim Zeppelinom posiadały.

A jednak, mimo tych tryumfów techniki i energji ludzkiej, przyroda pozostaje po staremu pierwszą władczynią świata. Uzmysławia nam tę prawdę każda większa katastrofa, W ubiegłym zaś miesiącu, porównywując prawdziwe rewolucje atmosferyczne po tej i po tamtej stronie Atlantyku, mieliśmy wrażenie, jak gdyby przyroda, kpiąc sobie z wszelkich wysiłków człowieka, starała się mu udowodnić, że może odległość między Europą a Ameryką tak zwiększyć, jakgdyby leżały one na dwuch odrębnych planetach. Równocześnie bowiem, kiedy w Europie prawie wszystkie kraje cierpiały od niezwykle mokrego lata, w Ameryce — chociaż leży pod tą samą szerokością geograficzną a zatem i klimat powinna mieć podobny — całe rolnictwo pogrążone zostało w rozpaczy z powodu niesłychanej klęski posuchy.

Pod względem „mokrości" tegoroczne lato w Europie jest tak wyjątkowe, że od czasu jak istnieją stacje meteorologiczne t.j. od lat 57 nie zanotowano jeszcze podobnego uksztaltowania się warunków atmosferycznych. Równocześnie zaś dotkliwa fala chłodu, która przez dwa tygodnie wisiała nad całą prawie Europą, sprawiła, że n.p. pod Paryżem w Chalons sur Saone, w okolicy równej i łagodnego klimatu, w początku sierpnia przez całą noc padał obfity śnieg. I dopiero koniec sierpnia zakończył uporczywy, przeszło miesiąc trwający, okres prawie nieustannych deszczów.

Równocześnie zaś w Ameryce pół-



Rezydencja króla Rumunji Karola I. w Bukareszcie.

nocnej katastrofalne wprost rozmiary przybrała klęska — posuchy. Tam również od czasu istnienia stacji meteorologicznych nie pamiętano lata podobnie skwarnego i suchego, Temperatura sięgała w niektórych miejscowościach 55 stopni Celsjusza w cieniu, parę tysięcy ludzi zmarło od porażenia słonecznego od gorąca powstawały pożary lasów i zboża na pniu, w wielu miejscowościach nie notowano opadów od maja, a w stanie Indiana ostatnie deszcze spadły jeszcze... 15 marca. To też w dolinie rzeki Ohio płacono za litr wody po 30—50 groszy, miljony sztuk bydła pozostały bez paszy. Już w początkach sierpnia obliczano straty, jakie skutkiem posuchy poniosło rolnictwo amerykańskie, na pół miljarda dolarów. W dwa tygodnie później szacunek ten zwiększył się do całego miljarda dolarów: jest to tyle, co trzyletni budżet państwowy Polski!

Wszystko to razem sprawia, iż rolnictwo amerykańskie znalazło się w obliczu niesłychanej w swoich rozmiarach klęski. W dobie jednak obecnej — przy systemie handlu ogólnoświatowego — stan rzeczy jest taki, iż klęski jednych krajów przysparzają korzyści innym. To też zmarnowanie znacznej części urodzaju w Ameryce północnej polepsza równocześnie ciężkie dotąd położenie rolnictwa europejskiego, które swój obecny kryzys niskich cen zawdzięcza nadmiernej produkcji zboża właśnie w Ameryce, stąd tania pszenica i żyto zalewały rynki europejskie. Obecnie zachwiana równowaga produkcji zostanie zapewne skutkiem klęski amerykańskiej przywrócona i Europa spodziewa się sporej ulgi

w ciężkiem położeniu swego rolnictwa.

Przesilenie rolnicze, które tak ciężko daje się odczuwać nietylko w Polsce, ale i w innych krajach, mających strukturę gospodarczą opartą głównie na produkcji rolnej, wysunęło potrzebę porozumienia się między temi krajami, aby zapomocą wspólnie ustalonej polityki gospodarczej móc bronić wspólnych interesów. Polska, jako najpoważniejsze w Europie państwo rolnicze (poza Rosją i Niemcami), wystąpiła z inicjatywą zwołania takiej wspólnej konferencji, a inicjatywa ta spotkała się niemal we wszystkich zainteresowanych krajach z najżyczliwszem przyjęciem. Pewnym wstępem do tej konferencji, mającej się odbyć w Warszawie, stanowiła konferencja w Bukareszcie między Rumunją, Jugosławją i Węgrami, na której wypracowano wspólny plan obrony rolnictwa. Dalszym ciągiem tych obrad były rumuńsko-jugosłowiańskie narady gospodarcze, odbyte w Sinaia, na których zarysował się program nietylko współpracy gospodarczej obu państw ale nawet zawarcie unji celnej. Konferencja warszawska stanowić będzie etap trzeci w tej pracy, mającej doniosłość ogónoeuropejską. To też inicjatywa polska zwróciła na siebie uwagę także i w zachodniej Europie, przedewszystkiem zaś w Niemczech, które konferencji warszawskiej oczekują z nieukrywanem niezadowoleniem.

Ma to swoje powody, gdyż wspólny front państw rolniczych, o który w tym wypadku chodzi, będzie miał także swoje słowo do powiedzenia o obecnej niemieckiej polityce celnej. Podobnie bowiem do egoistycznej polityki Stanów Zjednoczonych, które tegorocznemi podwyżkami celnemi zadały cios przemysłowi całej Europy, uniemożliwiając przywóz do Ameryki europejskich towarów, Niemcy dla ochrony swego rolnictwa wprowadziły cła tak wysokie, iż uniemożliwiają opłacający się wywóz nietylko z Polski, ale i z innych krajów rolniczych. Powtóre zaś w europejskiej dyskusji gospodarczej mówiło się dotąd stale i niemal wyłącznie tylko o sprawach przemysłowych, w których Niemcy są najbardziej ze wszystkich państw zainteresowane, interesy zaś rolnictwa a zatem i państw rolniczych stawiane były na dalszym planie i w wielu wypadkach zupełnie pomijane. Zarysowująca się obecnie współpraca państw rolniczych będzie miała na celu zmianę tych stosunków i wprowadzenie pewnej równowagi — zwłaszcza w konferencjach i układach dokonywanych na terenie Ligi Narodów lub pod jej egidą — w dalszym zaś wyniku zmierzać będzie do tego, aby to, co się teraz nazywa ogólnoeuropejskiemi interesami gospodarczemi, obejmowało rzeczywiście interesy całej Europy, a nie było tylko pokrywką dla uprzywilejowania jednych kosztem drugich. Fakt zaś, że we wspólnym tym froncie mogą stanąć obok siebie dla zgodnej współpracy państwa o tak sprzecznych między sobą interesach politycznych jak n.p. Rumunja i Węgry, dowodzi, że na tej drodze można się także spodziewać poważnych rezultatów co do pacyfikacji i stosunków w Europie.

Niestety, o ile o to ostatnie chodzi, to niema miesiąca, aby ze strony niemieckiej nie zaszło coś takiego, co bardzo silnie podważa pokój powszechny i stawia przed nami widmo nowej wojny. W ostatnich zaś czasach za każdym razem okazuje się także, że te przeciwpokojowe występy niemieckie zwrócone są zupełnie wyraźnie i planowo przeciwko Polsce. Takim antypokojowym występem w ubiegłym miesiącu były przemówienia i oświadczenia niemieckiego ministra Treviranusa, który stwierdził, iż obecnie — po załatwieniu wszelkich życzeń niemieckich na Zachodzie — głównym celem ich polityki jest odebranie Polsce dostępu do morza. P. Treviranus piastuje w rządzie niemieckim tekę ministra obszarów okupowanych t.zn. Nadrenji i od chwili jej opróżnienia przez Francję stał się jak gdyby pozbawiony dalszego pola do działania: tem się tłomaczy, dlaczego z jego to właśnie strony padły tego rodzaju oświadczenia; i p. Treviranus otrzymał zresztą swoją za to nagrodę, gdyż obecnie obejmuje specjalną misję dla czuwania nad „obroną interesów niemieckich na Wschodzie".

Ale nie o jego osobę chodzi w tym wypadku. To, co było rzeczą najważniejszą w jego oświadczeniach, to wyraźne podkreślenie, że przemawia nietylko jako polityk w okresie kampanji przedwyborczej, ale zarazem jako członek Rządu i że to, co mówi, mówi w charakterze urzędowym, uzgodniwszy swoje stanowisko z innymi ministrami. W ten sposób zapowiedź rewizjonistycznej polityki stała się w jego ustach zarazem urzędową zapowiedzią rządu niemieckiego. Po długoletniem maskowaniu się i drapowaniu w szaty pacyfizmu, Niemcy zupełnie otwarcie podnoszą teraz z powrotem sztandar swojej przedwojennej imperjalistycznej polityki i wyraźnie zapowiadają Polsce, że nie ustaną, póki nam nie odbiorą tego, co po przegraniu wojny światowej oddać nam musieli.

Rzecz oczywista, że tego rodzaju występ niemieckiego ministra wywołał stanowczy protest ze strony rządu polskiego, a także i wśród państw zachodnich obudził bardzo poważne refleksje. Zagadnienie polsko-niemieckie jest już teraz całkiem niewątpliwe głównem zagadnieniem polityki europejskiej i w interesie pokoju całej Europy leży praca nad tem, by nie doprowadziło ono do wybuchu nowej wojny. Przed społeczeństwem zaś polskiem staje nietylko groźne niebezpieczeństwo, ale zarazem konieczność zaniechania nareszcie walk wewnętrznych i uporządkowania swoich stosunków politycznych, aby móc wszystkie siły zjednoczyć w wspólnym froncie na zewnątrz.

Jak potężne mogą być skutki takiego zjednoczenia, o tem przypomniał nam miesiąc ubiegły z okazji minionych w nim dziesięciu lat od zwycięskiej bitwy pod Warszawą.



50-lecie Zakładów ks. ks. Salezjanów w Przemyślu.

Cudem nad Wisłą nazwano tę bitwę, której data zbiegła się z uroczystem świętem Wniebowzięcia N. P. Marji — i wracając myślą w przeszłość, przekonywujemy się, że był to rzeczywiście cud Opatrzności, którego staliśmy się godni jedynie dzięki temu, że potrafiliśmy wówczas wszystkie siły całego narodu skupić ku jednemu celowi i dzięki temu powszechnemu a zgodnemu wysiłkowi odwrócić już zdawało się niechybną zagładę dopiero co wskrzeszonej Polski. To też 15-ty sierpnia skupił całe społeczeństwo w radosnem rozpamiętywaniu tego, największego i najpiękniejszego w całej naszej powojennej historji, wydarzenia. We wszystkich miastach płynęły w tym dniu korne modły dziękczynne przed tron Boży, Ojciec zaś Święty który w czasie ówczesnego zwycięstwa bawił w Warszawie jako nuncjusz papieski i którego osoba zrosła się odtąd najściślej ze wspomnieniem Cudu nad Wisłą, nadesłał całemu narodowi polskiemu z okazji jego obchodu swoje serdeczne błogosławieństwo.

Naszym sąsiadom od wschodu święto polskie przypomniało różnicę, jaka zachodzi między nadziejami bolszewizmu w r. 1920, kiedy już nietylko wyciągał rękę po zagarnięcie Polski, ale liczył także na rozpalenie w całej Europie czerwonego pożaru rewolucyjnego, a dniem dzisiejszym, kiedy Sowiety trzymają się wprawdzie w samej Rosji, ale o rozszerzeniu swych wpływów na inne kraje coraz mniej mogą marzyć. Tegoroczny przebieg dnia 1-go sierpnia, wyznaczonego przez agitatorów bolszewickich jako dzień międzynarodowej manifestacji antywojennej, był we wszystkich krajach europejskich tak spokojny, iż Moskwa niewiele już może mieć nadziei na wzrost swoich wpływów poza swoim własnym terenem, na którym wszelką opozycję dusi jedynie przy pomocy terroru.

Pozostała jej tylko Azja, w której może jeszcze w mętnej wodzie zapuszczać swoje niewody. Agitacja bolszewicka, uprawiana wśród ludów azjatyckich, przejawiła się w czasach ostatnich znowu wyraźniej — na dwuch równocześnie odcinkach. W Chinach, gdzie wojska rządowe zajęte są wojną domową na północy, powstanie bolszewickie rozpaliło pożar w południowej części kraju, wśród olbrzymiego rozlewu krwi podchodząc pod stolicę państwa Nankin. W Indjach zaś wybuchło na pograniczu z Afganistanem, również nie bez przyczynienia się Moskwy, groźne powstanie górskiego szczepu Afrydów. Wojska angielskie, mimo przewagi, jaką im dają posiadane środki techniczne, potrzebowały kilku tygodni, zanim wreszcie zdołały powstanie to zlikwidować.

O ile o europejską granicę Sowietów chodzi, to ubiegły miesiąc zaznaczył się ważną manifestacją polityczną, jaką była wizyta p. Prezydenta Rzplitej Mościckiego w stolicy Estonji, Tallinie. Jakkolwiek miała ona charakter ściśle tylko kurtuazyjny, stanowiła bowiem odwzajemnienie za wizytę przed paru miesiącami prezydenta republiki estońskiej p. Strandmana w Warszawie, to jednak zaznaczył się w tem fakt ścisłej przyjaźni między obu państwami oraz ich obopólna dążność do ugruntowania na wschodzie Europy polityki ściśle pokojowej.

U drugiego z naszych sąsiadów na Węgrzech, święcono w ubiegłym miesiącu 900-letnią rocznicę śmierci św. Emeryka, patrona młodzieży węgierskiej. Św. Emeryk, syn św. Stefana, który wprowadził na Węgrzech chrześcijaństwo, został kanonizowany równocześnie z ojcem swoim w r. 1083. Uroczystość jego była wielką manifestacją katolicyzmu węgierskiego, w której wzięli udział także katolicy innych krajów. Pielgrzymce polskiej przewodniczył Prymas Kardynał Hlond.



Dzwony dla Świątyni Opatrzności w Warszawie: Kazimierz i Zygmunt.
(Stocznia Gdańska).

W polityce wewnętrznej Polski sierpień znamionowało zacisze. Tem ostrzej wybiły się na jego tle antypaństwowe występy ukraińskiej organizacji rewolucyjnej we Wschodniej Małopolsce, wyrażające się w licznych podpaleniach, napadzie na wóz pocztowy (przyczem zabito pocztyljona), poprzecinaniu drutów telegraficznych i telefonicznych pod Lwowem itp. Zbrodnicze te akty gwałtu, które wywołały oburzenie całego społeczeństwa polskiego, zeszły się nie bez racji z rozpoczęciem antypolskiej akcji urzędowych Niemiec. Oddawna bowiem jest publiczną tajemnicą, że szowinistyczne i antypolskie prądy wśród ludności ruskiej organizowane są i podsycane z Berlina i wedle otrzymywanej stamtąd komendy to przycichają to przybierają ostrzejsze formy.

Na zakończenie tego przeglądu powrócimy jeszcze do tego, od czegośmy zaczęli; do powietrza. Międzynarodowy konkurs awjonetek (samolotów sportowych), urządzany przez Niemcy, objął po zakończeniu rajdu europejskiego szereg prób technicznych, odbywanych w Berlinie. W ostatecznej klasyfikacji miejsca pierwsze podzielone zostały między dwa narody, głównie rywalizujące z sobą w walce o zdobycie powietrza: Niemców i Anglików. Z Polaków, którzy przy rozpoczęciu tych zawodów wystawili 12 zawodników (na ogólną liczbę 60), weszło do ostatecznej klasyfikacji 4-ch (na ogólną liczbę 35), przyczem zajęliśmy miejsca 19, 21, 31 i 33. W zetknięciu z międzynarodową konkurencją okazało się, że jeszcze pod wielu względami musimy nad sobą pracować, chcąc ubiegać się o palmę pierwszeństwa. Jednakże z tego pierwszego swego udziału w tak poważnej i trudnej międzynarodowej próbie lotnictwo nasze odniosło doświadczenia bardzo cenne i zarazem impuls do dalszej pracy, która w swoim czasie potrafi z pewnością doprowadzić do całkowitego zrównania się naszego z konkurencją zagraniczną.

M. G.

KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Klubu Szaradzistów.

REBUS.

Ułożył Zygmunt Tietz, rysował Jan Stratilato, za rozwiązanie 5 punktów.

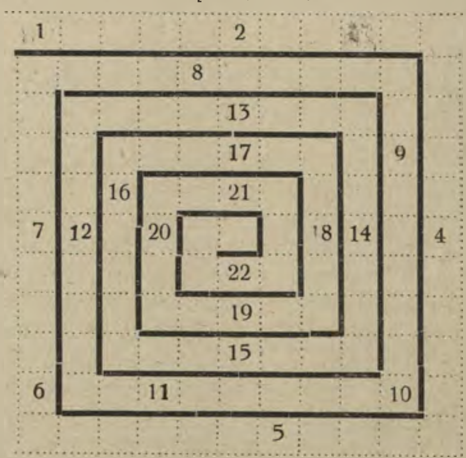


S Z A R A D A

Cała *tem jest dla duszy, czem kryniczna woda*
Dla strudzonego srogim upałem pielgrzyma,
— To krzepi omdlałego, otuchy mu doda,
I do dalszej wędrówki siły mu podtrzyma.
Godzina czwarta-piąta-szósta *to początek*
Całodziennej w upale i znoju podróży —
— Lżej jest, kiedy się ósme, *że jest taki kątek*
W którym można odpocząć, gdy się człowiek znuży!...
Choć czwarte-piąte-siódme *w tej wędrówce stopy,*
Czoło potem zroszone pochyli ku ziemi,
To pierwsza-druga-trzecia *aż pod niebios stropy*
Unieść, lżejszem czyniąc najprzykrzejsze brzemię...
Dziesiąte-czwarte-siódme *duszę tą ufnością,*
Że nie jesteśmy sami pośród tych bezdroży
Wśród których można zbłądzić, zgubić się z łatwością,
Że jednakże nad nami czuwa Oko Boże...
Gdy wreszcie upragniona nadejdzie godzina
Ósma-dziewiąta-szósta, *dla ciała wytchnienie,*
Duch, nigdy niezmorzony, znów skrzydła rozpina,
By przed Tron Najwyższego zanieść dziękczynienie...
... Bo pierwsza-druga-trzecia *to kryniczna woda*
Dla utrudzonych srogim upałem pielgrzymów,
Ona z piątych *uleczy, słabym siły doda,*
Ludzi małego serca zamienia w olbrzymów!!...

Łęczno — sierpień 1930 *Stanisława Willerowa*

CIĄGÓWKA.



Wpisując w każdej kratce po literze odnaleźć wyrazy o podanem znaczeniu. Końcowe litery wyrazów są zarazem początkowemi (następnych). Kratki wzdłuż przekątnych dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Anioł wyższego chóru. 2 Smarkacz. 3. Byczek. 4. Owad wachlarzorogi. 5. Poruczając. 6. Narodowość. 7. Zawadjaka, awanturnik. 8. Biuro handlowe pośredniczące. 9. Zbrojownia. 10. Żelazny drąg do kruszenia skał 11. Składowa część ciała człowieka. 12. Zakonnik. 13. Przyrząd mierniczy do celowania na przedmioty. 14. Ginekolog. 15. Rodzaj fantazji muzycznej. 16. Przodek. 17. Nowoczesny taniec. 18. Posiłek. 19. Cud. 20. Paliwo. 21. Bez trudu. 22. Zwierzę bezkręgowe.

M. Sławnicki
czł. W. Kl. Sz.

Z A G A D K A - F I G I E L E K.
(Za rozwiązanie 1 punkt.)

Z niżej umieszczonych liter należy ułożyć tytuł znanego miesięcznika.

A. A. C. E. E. Ę. G. I. I. I. K. Ł. M. N. N. N. O. S. T. T. U. Y. Z. Z. *ul. R. Follek.*

ARCYŁAMIGŁÓWKA.
Za rozwiązanie 2 punkty.

Pierwszej szukajcie wśród Dniestru porohów,
Drugiej zaś wśród dzikich narodów;
Lecz *trzecią* to już i Narew posiada,
A *czwarta* to i w polnej drodze wypada,
Piąty zaś, ma nasza Skawina,
Gdzie wyrabia się kawę lepszą od wina.
Wszystkiego już się domyślacie,
Bo ją każdy wdomu macie.

ułożył *Rajmund Follan.*

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR. 6 R. P.

Logogryf. „Naród Polski".

Podwójny logogryf przekątny. „Wiara Nadzieja i Miłość, to zbawienie człowieka".

Kwadrat magiczny. Raba, atom, bona, amat, (wspak.

Rebusiki: Kanarek, ananas, kanapa.

Trafne rozwiązania nadesłali: P. P. F. Burkiewicz-Poznań, J. Dosiałówna-Lwów. Z. Filipowiczówna. R. Follek-Pawłowice. K. i St. Fuhrmanówny-Krotoszyn. F. Iwańska-Poznań. F. Jarecki — Warszawa. I. Kaczmarkówna — Poznań. J. Kołakowski-Warszawa. S. Komisaruk-Przemyśl. W. i S. Kowalewscy-Bydgoszcz. K. Kozłowski-Warszawa. J. Królikowski - Łódź. S. Kupny-Świętochłowice. T. Kanzówna. K. Kwiecińska-Chełmża. A. Malarczykowa-Łódź. F. Obarski-Gniezno. A. Olejniczak-Leszno. A. Pękala-Falenica. Z. Paprocki-Wilno. L. Pumidajski-Ołtarzew. K. Romanowski-Wilno. F. Spryszyńska-Warszawa. C. Stysiński-Częstochowa. J. Sucht-Lipowiec. M. Szewczykówna-Dziedzice. E. Walędziak-Warszawa. F. Wojnowski-Drzonowo. M. Zalewska-Warszawa-M. Zieliński-Wilno. J. Życzyński-Cieszyn.

Nagrody w drodze losowania, otrzymują p.p. Klara Fuhrmanówna-Krotoszyn ul. Raszkowska 12 - „Świat murzyński", K. Romanowski-Wilno ul. Moniuszki Nr. 6-8. — „Cztery lata wśród murzynów". S. Kupny-Świętochłowice Bytomska 22 „W ręce Ojca".



DLA DUSZY.

Gdybyśmy co rok jedną przynajmniej wadę z siebie wykorzenili, wkrótce stalibyśmy się doskonałymi ludźmi.

Lecz przeciwnie często czujemy, żeśmy byli lepszymi i czystszymi w początkach, niźli po wielu latach nawrócenia naszego.

Żarliwość i postęp nasz w cnocie codzień wzrastaćby powinny; a dziś i to już za wiele ważym, jeśli kto choć cząstkę pierwszej żarliwości zachował. Gdybyśmy z początku cokolwiek przymusu względm siebie użyli, wszystko potem szłoby nam z łatwością i weselem.

O Naśladowaniu Chrystusa.

TOMASZ à KEMPIS.

SPRAWY MODY

W miarę tego im więcej się kobiety kształcą, im snadniej umysły ich obejmują głębsze zadania życia, tem więcej także poczuwają się do obowiązku obrony własnej godności.

Dlatego to, niezawodnie, niepokoi je — *moda* — która często jest widomym znakiem godność tę, narażającym na szwank.

Nic dziwnego więc, że kobiety zebrane na Kongresie Katolickim w Rzymie, m. in. podniosły także i sprawę „niemoralnej mody". A chcąc trafić do rozsądku jaknajliczniejszym zastępom niewiast, omawiały je z punktu: fizjologicznego, estetycznego, psychologicznego, moralnego, społecznego, nawet religijnego, w uchwałach swych zaznaczając, że „kobieta musi kierować się względami na godność chrześcijanina, zgodnie z nakazem wysokiego uduchowienia".

Wszystko to słuszne, bo istotnie dzisiejsza kobieta, wykształcona, zawodowo przygotowana do życia, mająca obowiązki obywatelskie na równi z mężczyzną do pełnienia, nie może i nie powinna niewolniczo iść za nakazem tego, co czasem wynika z głupstwa, ale najczęściej ma jakieś ekonomiczne podstawy. Gdyby nie urodził len, musiałyby lniane wyroby — wyjść z mody, bo nie byłoby ich na targach. Gdyby, jak to kiedyś w połowie ubiegłego stulecia, na kokony jedwabnicze przyszło, broń Boże, zatrucie — jedwabie może na jakiś czas nie mogłyby służyć modzie.

Mówię, broń Boże, dla tego, że ludność południowej Francji wówczas właśnie, kiedy na kokony padła zaraza, zagrożona była głodem. A wybawił ją nietylko wielki uczony, dobroczyńca ludkości, ale i gorący patrjota swego kraju Pasteur, poświęcając parę lat życia na zbadanie i usunięcie przyczyn klęski.

Więc z tą modą czasem trudno jest się naogół borykać, bo ogarnia ona nietylko sprawy stroju, ale panoszy się w różnych dziedzinach życia. Bywa przecież, wszyscy to obserwujemy, moda na autora, książkę, stosunki towarzyskie, gry, zabawy, widowiska i spacery, wycieczki, miejsca kuracyjne. Bywa moda na takie a nie inne style budowlane, urządzenia mieszkań. Ba! nawet bywa moda na taki a taki kościół.

I na wszystko — oprócz ślepego pędu znalazłoby się niezawodnie głębsze tych objawów usprawiedliwienie. Składać się będą na to, warunki przyrodzone, a potem te wszystkie, o których wspominają kobiety zebrane na Kongresie w Rzymie.

Ubrać się ładnie, to znaczy estetycznie, odpowiednio do pory, do okoliczności jest niemal obowiązkiem tak samo kobiety jak i mężczyzny. Staranność około swej osoby, ze wszystkich względów nieodzowna dla każdego wieku. Więc, nie o walkę z wiatrakami chodzi nam w tej chwili, bo w rozwoju kultury, na całym świecie będzie pewne powinowactwo przyczyn *mody*. Chodzi o co innego. A mianowicie, aby ślepe przyjęcie nakazów bardzo krótkiej czy bardzo długiej szaty spotkać się musiało z rozsądnem jej przystosowaniem. Aby bardzo tani, albo bardzo drogi materjał, znalazł odpowiednik w budżecie. Aby bardzo piękny pomysł wzoru modnego, był przystosowany do warunków zewnętrznych tej jednostki, która go nosić będzie. Aby, słowem, kobieta dzisiejsza, a więc rozumna, skrzętna, samodzielna, dobra administratorka własnych czy wspólnych z mężem zasobów materjalnych, nie poddawała się, często bezmyślnym nakazom mody i aby nie moda nią rządziła, ale ona modą.

L. Kotarbińska.

KONGRES MŁODYCH W RZYMIE

„Braterstwo w Chrystusie" — oto był temat referatu p. Hal. Doria-Dernałowiczówny, przewodniczącej Stow. Młodych Ziemianek i członkini zarządu Unji Młodych, czyli sekcji młodzieży przy Unji katolickich związków kobiecych, która w r. b. odbyły swój Kongres w Rzymie.

Referat polski uzyskał ogromne uznanie znakomitem przeprowadzeniem tezy, opierającem się w pierwszej części na następujących punktach: Stworzenie — jedność początku i końca, Odkupienie — źródło braterstwa i jedności, jedność w Chrystusie — sakramenty Chrztu Św. i Eucharystji, Ciało Mistyczne — rzeczywistością nadprzyrodzoną, braterstwo w Chrystusie według nauki Kościoła katolickiego i braterstwo w Kościele. W drugiej części referentka nakreśliła zarys tych prądów, które paczą ideę braterstwa przez oparcie jej na fałszywych zasadach, jak: nacjonalizm, liberalizm, naturalizm, socjalizm, pan-chrystjanizm, kosmopolityzm i laicyzm we wszystkich formach. W zakończeniu wykazała istotę prawdziwego obowiązku narodowego i międzynarodowego, która zlewa się z obowiązkiem miłości i sprawiedliwości, bo:

„Tylko katolicyzm uniwersalny przez swoją istotę może nam dać prawdziwe rozwiązanie zagadnienia współpracy międzynarodowej". „Cechy charakteru poszczególnych narodów mogą osiągnąć pełną wartość jedynie wtedy, gdy idą drogą, wyznaczoną od Boga".

Po takiem ujęciu zagadnienia p. Dernałowiczówna nakreśliła dopiero obraz wartości odrębnych poszczególnych narodów, rozwoju intelektualnego, moralnego i ekonomicznego, wiążącego się z ich historją i tradycjami.

Katolicka Unja Młodych wskazuje te drogi, jakiemi jedynie osiągnąć można szczerą współpracę narodów i pokój na świecie. Wyrabia swoje członkinie, kształcąc je filozoficznie i praktycznie przez wskazywanie metod realizacji poglądów. Przeprowadza je przez głębokie studja, oświetlające zagadnienia społeczne i polityczne z punktu widzenia katolicyzmu.

Organizacja młodych istnieje przy Unji od lat 4, łączy 25 lig z 13 krajów, pozostaje — jak cała Unja — pod osobistą dyrekturą Ojca świętego. Przewodniczącą sekcji młodych jest p. de Hemptinne z Belgji, wiceprzewodniczącą — p. de Rostu z Francji, członkiniami zarządu: p. Hal. Doria-Dernałowicz z Polski, A. Barelli z Włoch, Mikota z Węgier i Buczkowska z Niemiec.

Kongres Rzymski, trwający 8 dni, zgromadził 200 delegatek z 20 krajów Europy i Ameryki. Poprzedzał on kongres całej Unji katol. związków kobiecych i równie, jak tamten połączony był z licznemi uroczystościami religijnemi.

Z radością trzeba tu zaznaczyć, iż na terenie Unji Polska jest zapisana dobrze i cieszy się uznaniem. Pierwszą przewodniczącą Unji z nominacji Ojca św. była Polka — ś. p. hr. Wodzicka z Krakowa. W r. bieżącym zaś do zarzadu Unji weszła z wyborów (na 6 tylko członkiń wybieranych) hr. Zofja Władysławowa Zamoyska — przewodnicząca Katolickiego Związku Polek w Warszawie.

Z. Zal.

O SŁUŻBIE DOMOWEJ

Do niedawna zagadnienie służby domowej było skrzętnie ukrywaną bolączką, każdej niemal gospodyni domu. Warunki nawet najskromniejsze nie wykluczają konieczności posiadania służącej, w liczniejszej rodzinie w dużem mieście.

Nawet nie zawsze posługaczka jest dostateczną pomocą dla przeciążonej pracą pani domu. Kłopotem największym jednak jest dobór odpowiednich sił fachowych których brak odczuwa się coraz dotkliwiej. Stosunki w dziedzinie służby domowej uległy po wojnie znacznym zmianom. Panie uskarżają się, że trudno bardzo jest dostać dobrą służącą — służące zaś ze swej strony biadają, że coraz rzadziej trafia się im dobre miejsce.

Przyczyny złego dopatrywać się należy w ogólnej zmianie warunków naszego życia. Kobiety posiadają obecnie znacznie mniej wolnego czasu na zajęcie się domem i szkolenie służby. Kursów specjalnych szkolących służące zawodowo jak dotychczas nie posiadaliśmy, a nie należy zapominać, że sama praca w gospodrstwie, jako taka uległa, silnej ewolucji, zniewalającej osoby mające ją wykonywać do teoretycznego przygotowania się do podejmowanych obowiązków. Nowe, coraz liczniejsze przyrządy pomocnicze pojawiające się w domach, również wymagają umiejętności obchodzenia się z niemi. Nic więc dziwnego, że wskutek braku źródeł wiedzy pracownice domowe w wielu wypadkach nie sa do swego zatrudnienia przygotowane. Nie wiedzą, jak należy postępować, co umieć jak się zachowywać, czego wymagać od siebie, a czego dla siebie, aby należycie spełnić podjęte obowiązki. Nie wątpię, że wielką pomoc okaże im w tym wypadku książka p. Michaliny Ulanickiej p. t. „Poradnik służby domowej", która ukazała się ostatnio nakładem M. Arcta w W-wie. Jest to książka mająca na celu zapoznanie służących z ich zawodem, obowiązkami względem pracodawców, oraz względem siebie samych. Napisana niezmiernie prosto i treściwie, rozbita jest dla łatwiejszej orjentacji na trzy zasadnicze grupy.

Część pierwsza obejmuje to, co służąca wiedzieć powinna, obierając sobie **zawód pracownicy domowej.** Określenie powyższe daje miarę wartości pedagogicznej „Poradnika", który występuje do walki z dotychczasowem zapatrywaniem na zatrudnienie służby domowej jako na pracę uwłaczającą godności człowieka. Żadna praca nie hańbi, a pracą jest zarówno wysiłek umysłowy jak i fizyczny.

Przeciwnie służba, traktowana jest jako szkoła dla pracownicy, gdyż w pierwszym obowiązku służąca uczy się swego zawodu. Omówione są szczegółowo zalety niezbędne dla dobrej służącej przyczem nacisk specjalny położony jest na umiejętność myślenia, porządek w rozkładzie pracy, spostrzegawczość, uprzejmość, posłuszeństwo i miły sposób bycia.

Szczegółowo opracowane są wzajemne warunki prawne. Umowa obowiązująca przy wstępowaniu na służbę i jej rozwięzywanie. Świadectwa, dowody osobiste wysokość wynagrodzenia przy wzajemnem szczerem porozumieniu się przestają być powodami rozgoryczeń i zatargów.

Część druga zawiera obowiązki i zajęcia, pracownicy domowej. Określa jej zachowanie względem państwa dzieci, oraz względem gości dom odwiedzających. Niezmiernie cenne są wskazówki podane na temat pielęgnowania niemowląt. Dalej znajdujemy szereg przepisów praktycznych dotyczących utrzymania porządku w mieszkaniu. Rady te i przepisy, dobrane umiejętnie, jednoczą zarówno najnowsze metody stosowane dziś w dziedzinie organizacji gospodarstwa domowego, jak i sposoby dawniejsze, które starszym gospodyniom weszły niejako w krew, a które w zastosowaniu pozwalają na osiąganie wyników dodatnich. Jest to cechą niezmiernie charakterystyczną dla „Poradnika", że mimo całej nowoczesności ujęcia problemu służby domowej, szanuje on konserwatyzm tak specjalnie sprawom gospodarstwa domowego właściwy, a reformy pragnie przeprowadzić spokojnie, drogą konsekwentnej ewolucji.

Praca w kuchni, czyli gotowanie przynosi szereg cennych wskazówek opartych na zasadzie chemji, fizyki, biologji i anatomji. Wskazówki te są w tak przystępnej i popularnej formie, że przeniknąć mogą drogą przykładów do umysłów najmniej przygotowanych.

Część trzecia szczegółowo omawia obowiązki pracownicy względem siebie samej. Jej zdrowie, schludność, sposób ubierania się i higjenę osobistą. Właściwy użytek jaki sobie powinna uczynić z otrzymywanych zarobków lub dochodów. Nareszcie nauka, czytanie, rozrywki, związki, zawieranie znajomości, przyjmowanie odwiedzających, a nawet kwestje narzeczeństwa i małżeństwa są bardzo życzliwie i wyczerpująco oświetlone.

Z ogólnego całkiem widać z jaką sumiennością i starannością odniosła się autorka do podjętego dzieła, zapełniając jednocześnie lukę w naszem piśmiennictwie z tej dziedziny.

Nie należy wątpić, że książka ta znajdzie jaknajżyczliwsze przyjęcie ze strony społeczeństwa kobiecego i że panie gospodynie w interesie własnym zapoznają się bliżej z „Poradnikiem", jednocześnie udostępniając zetknięcie się z nim własnym pracownicom domowym.

Jednym może z najdodatniejszych rezultatów „Poradnika służby domowej" będzie wyszkolenie służących w sposobie obcowania z paniami domu. Nic chyba bowiem niema przykrzejszego wśród ciężkich obowiązków gospodyni, jak przyuczanie służby domowej do należytego szacunku i grzeczności okazywanych tymże pracodawczyniom.

Marja Ankiewiczowa.

WIELOPOLE

(w pow. sanockim.)

W uroczej, podgórskiej wsi Wielopole nad Sanem u stóp starego klasztoru, położonego na szczycie góry, zachowały się jeszcze szczątki zdobnictwa ludowego



i haftów kobiecych. Dociera tam już niestety miejska tandeta; piękny barwny strój ludowy zastępują jakieś kuse sukienki z lichego materjału, kakierki na wysokich obcasach i tym podobne dziwolągi. Lecz na targach i jarmarkach w małych miasteczkach znaleźć można ciekawe resztki dawnych strojów wiejskich.

Wśród tak zwanych „łachów na ścierki" znalazłam w Sanoku na targu zniszczoną koszulę kobiecą z samodziału z bogatem wyszyciem na ramionach, kołnierzu i koło rąk. Wyszycie krzyżykowe, szyte podług nitek płótna w kolorach czerwonym i czarnym, z szydełkową mereżką pośrodku. Można ten wzór doskonale zastosować na poduszkę do hamaka, lub na fotel ogrodowy.



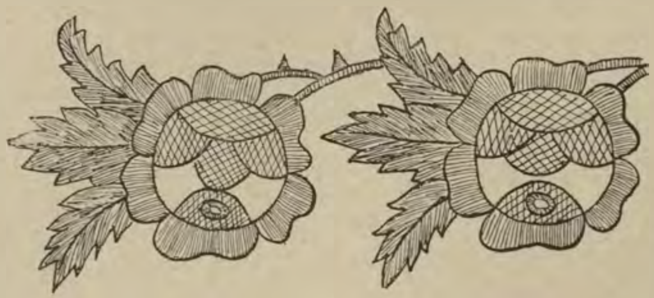
Wzór ten nazywa się „w dzwoneczki" „wyrobiony z głowy" przez siedemnastoletnią Jagusię, która pięknie umiała „wyrobić igłą." Niestety Jagusia dawno przestała wyszywać, bo już wiejskiej mody nie nosi. Starajmy się więc przejąć ten wzór, jako wspomnienie barwnej wsi polskiej i pracowitości jej mieszkanek.

Marja Stefkowa.

HAFT KASZUBSKI

W czasie wakacji z przyjemnością oglądamy wszelkie modele i wzory, które mają zdobić ubrania kobiece na wywczasach. Miło więc będzie w czasie wycieczki w góry lub w chłodny wieczór zarzucić na lekką suknię, cieplejszą kamizelkę.

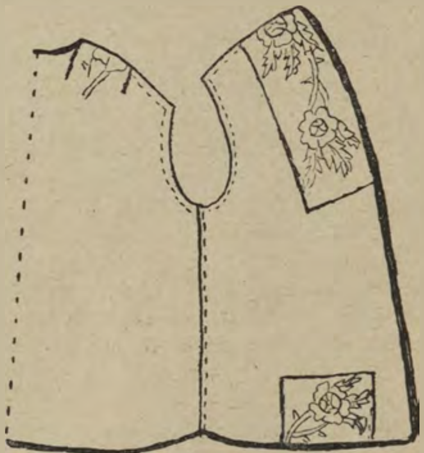
Podajemy wzór tego wygodnego, niekrępującego



okrycia. Na kamizelkę taką potrzeba zaledwie sześćdziesiąt centymetrów materjału podwójnej szerokości.

Jakikolwiek materjał wełniany w rodzaju sukna, lub franelki, kraje się w ten sposób, by linja idąca przez środek wzdłuż pleców była prosta, z przodu zaś nitka prosta przebiega od górnej części ramienia do kieszonki. W ten sposób skrojona kamizelka układa się dobrze na każdej figurze. Wokoło szyji i na kieszonkach wyszyjmy barwny haft, według wzoru kaszubskiego.

Oryginalne kwiaty mają płatki wykonane ściegiem płaskim w kolorze ciemno-czerwonym, pola środkowe rozgraniczone czarną nitką powlekamy ściegiem cerowanym w kolorach pomarańczowym i czarnym. Gałązki i kolce złoto-bronzowe, liście mchowo-zielone uzupełniają estetyczną całość.



Bardzo praktyczną, spełniającą takie samo zadanie jest kamizelka z samodziału, wykonana w taki sam sposób. Ma ona również wielką zaletę, że można ją łatwo wyprać, trzeba jednak prasować wilgotną, by płótno było gładkie i lśniące.

Marja Stefkowa.

OZDOBNE KOŁNIERZYKI

Od najdawniejszych lat strój kobiecy przyjął jako główną ozdobę w wykończeniu sukni, przybranie wokół szyji i rąk. Noszono koronki, futra, dżety, flitry, mgliste chusteczki i hafty.

W bieżącym sezonie postanowiono w Polsce popierać wyroby krajowe, barwne perkaliki i swojskie tkaniny. Wykończeniem takiej sukni może być kołnierzyk z płótna lub opalu, skrojony z równego kawałka, na brzegu wykończony mereżką i wszyty w cieniutką oszywkę.

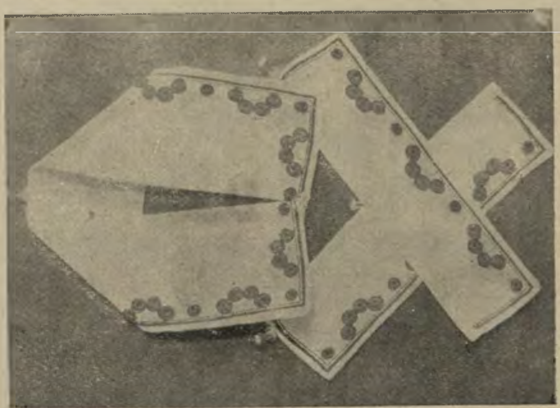
Kołnierzyk i mankiety zdobić powinien haft, dobrany z wzorów ludowych, które wychylają się ku nam ze wszystkich pięknych wsi polskich.

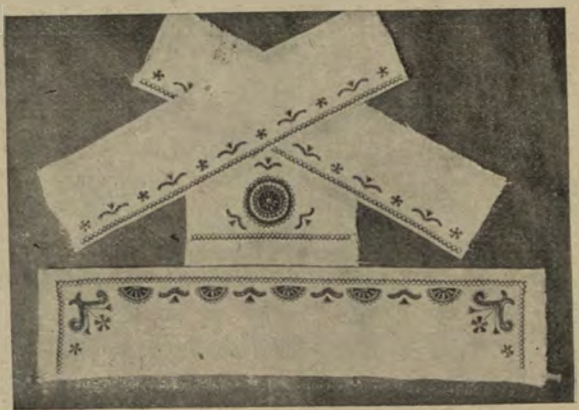
W okolicach Stanisławowa we Wschodniej Małopolsce wyszywają kobiety oryginalne wzory na ramionach, kołnierzykach i przy rękawach koszul. Wzór łatwy do wykonania składa się z drobnych kółek dzierganych, obwiedzionych wokoło innym kolorem, ściegiem wodnym.

Podajemy wzór takiego garnituru. Kółeczka szafirowe obwiedzione czerwoną nitką, wewnętrznie brązowe z obwódką pomarańczową.

Drugi garnitur zdobi haft ulubiony na Kurpiach, wykonany bawełną czerwoną i czarną ściegiem łańcuszkowym. Obydwa garnitury wykonane z białego płótna wyszyte bawełną z połyskiem.

Marja Stefkowa.





NOWOGRODZKIE TKANINY

Salon Garlińskiego otworzył gościnne podwoje dla Wystawy tkanin ludowych z nowogrodzkiej ziemi.

W Wilnie, otoczone opieką wyroby ludowe mają słusznie wyrobioną opinję pięknych, bo czuwa nad ich urodą znakomity artysta Ruszczyc.

W Krakowie Tow. Sztuki Zdobniczej, z p. Warchałowskim na czele, zgromadza skarby sztuki ludowej krakowskiej ziemi.

W Łowiczu — p. Aniela Chmielińska od wielu lat całą najgłębszą miłością otoczyła twórczość Księżaków, a niema chaty na łowickiej ziemi, żeby z niej nie wydobyła pięknych haftów, wycinanek, wyszyć paciorkowych, okazując nam je na wystawach regjonalnych, a co najpiękniejsze, gromadząc w łowickiem muzeum. Dziś, oglądamy przebogate motywy wyrobów ludowych w tkaninach lnianych z ziemi nam drogiej — ziemi nowogrodzkiej.

Towarzystwo popierania sztuki ludowej w Nowogródku, może poszczycić się swą działalnością.

Strzeże ono czystości wzoru, broni od napływu obcych motywów. Strzeże barwy, rugując barwniki anilinowe, szybko pełznęce, zastępując je tylko barwnikiem roślinnym, ale jakże miłym dla oka kolorze.

Dowiadujemy się, od uprzejmej ekspedyjentki towarów, na wystawie Garlińskiego, że w województwie Nowogródzkiem około 89.000 osób trudni się tkactwem a wartość produkcji rocznoj daje około 10 miljonów złotych. To już jest obrót poważny i godzien poparcia. Tem więcej, że wykonanie tkanin jest doskonałe i że całość sprawia niezmiernie estetyczne wrażenie.

Hafty podolskie, których propagandą u nas zajmuje się tylko niewielkie grono kobiet, w sprzedaży dają także sumy, odganiające nieraz biedę od chaty.

Hafty kaszubskie, które na krótką chwilę ukazały się i gdzieś przepadły. Nasze piękne wystawy sklepów z wyrobami sztuki ludowej i haftami w motywach swojskich, pracownie „Przemysłu Ludowego“ na Tamce i „Ładu“ na Czerniakowskiej, którego tkaniny doprowadzone są do doskonałości i w smaku i w technice, wszystko to świadczy o czujności naszej, aby nie marnować nic z rodzimych dorobków i tworzyć własną, polską sztukę. Oczywiście te bogactwa są dla nas odkryciami. Więc musimy się uczyć cenić je i poznawać. A stosować jak najwięcej w domowem użyciu, bo tylko szerokie poparcie z naszej strony, zapewni im należyty rozwój. Że są tego warte, dowiodła nam raz jeszcze piękna Wystawa nowogrodzkich tkanin w salonie Garlińskiego.

L. K.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Gospodyni z Mławy. Bekony i szynki nasze idą do Anglji. Wzrost eksportu wzrasta. Za ubiegły miesiąc bekonów wywieziono 16.000 g. a szynek 2.500 g. Informacje bliższe da Sz. pani niezawodnie odpowiedni wydział Centralnego Tow. Rolniczego Kopernika 30.

Pannie Marji Osm... w Lublinie W tej chwili w Sorbonie paryskiej mamy dwie katedry obsadzone przez Polaków. Chemje prowadzi genjalnie Polka Marja Skłodowska-Curie. Historję literatury współczesnej Ferdynand Strowski, sławny uczony, który już położył duże zasługi jako profesor języka i literatury francuskiej na uniwersytecie paryskim.

Pesymistce z N. N. A niechże pan Bóg strzeże łaskawą panią od takich złych myśli. Ani nie giniemy, ani nie zginiemy, przechodzimy ciężkie chwile. Ale, albo to pomoże. Daj Boże żeby ostatnie, a jednak zawsze trwaliśmy i trwać będziemy. A jeśli komu, to zwłaszcza nam kobietom ani na chwilę nie wolno podlegać zwętpieniom. Pesymizm, nie ma siły twórczej. Tylko wiara, tylko wola, tylko niezmożone niczem postanowienie pracy, pogody i szerzenia nadziei zmóc złe może. Kraj bogaty. Ręka Boża złożyła w nim skarby. Naród szlachetny i dzielny, pracuje i oszczędza. A że w nim jeszcze nie wszystko tak się układa, jakby się tego pragnęło — to prawda. Ale i to minie, tylko trzeba aby zbiorowa siła i wola nie słabła, podtrzymywać ją i umacniać to właśnie nasza rola — kobiet polskich.

P. Zofji M. w Sielcach. Suknie zupełnie długie będą noszone do stroju. Dzisiejsza moda sukien po kolana — minęła. Ale każda praktyczna kobieta nie powróci już niezawodnie do sukien długich na ulicę. Spodnica każda nietylko sportowa, będzie zawsze miała wymiar — po kostkę nogi, co to i wygodne i higieniczne i oszczędne. Kapelusze noszą panie na ogół-większe, jesień i zima utrzymują czapeczki sportowe i przylegające do głowy. A futra? Pyta pani Kto ma je czem opłacać, bo są drogie będzie nosił. Kto niema dużo do wydania na swe ubranie — czas przetrzyma potrzebę. W każdym razie, my, kobiety rozumiejące dzisiejsze ekonomiczne położenie kraju, musimy oszczędność uważać za zasadę naszych czynów, a grosz dziesięciokrotnie oglądać zanim się go wyda, zwłaszcza na ubranie. Więc futro stosować wtedy i o tyle, o ile one są niezbędne.

Pannie Bron. Zawil... w Piotrkowe Wszystkie jasne kolory są modne. Wszystkie materjały zalecamy krajowe. Czeszki potrafiły parę lat nie nosić rękawiczek, bo nie było skór na nie innych jak niemieckie. To też Czechy słyną z dobrobytu wewnętrznego.

KĄCIK DLA DZIECI

GĄSIENICZKA.

Na zielonej łodydze kwiatu siedziała gąsienica i pracowicie obgryzała listki wokoło Nie tak dawno znajdowała się w wesołej gromadzie braciszków i siostrzyczek, małe gąsieniczki jednak po wylęgnięciu się z jajeczek ujawniały tak niepowszedni apetyt, że w krótkim czasie zabrakło im pożywienia. Z początku wybredzały i grymasiły trochę potem zjadały co się trafiło, ale nareszcie i najmniej szmacznej rzeczy zbrakło. — Po naradzie więc wybrały się gąsienniczki całą gromadą na poszukiwanie pożywienia. Ale rosły, więc rósł też ich apetyt, tak że po paru dniach znów pustką świeciła cała śpiżarnia.

— Tak nie może być — stwierdził starszy braciszek — proponuję, żebyśmy się rozdzielili; każde z osobna łatwiej sobie znajdzie pożywienie.

Rodzeństwo przyznało mu słuszność, a że było to towarzystwo bardzo łakome, więc myśl rozstania z rodzeństwem osłodziła im myśl o dobrych rzeczach, które niepodzielnie dla siebie zdobędą. I tak nasza gąsieniczka została sama. Dobrze jej się działo, robiła się coraz większa i grubsza, ale od jakiegoś czasu zaczęła się w niej budzić nieznana tęsknota do słońca i nieba błękitnego. Wypełzała na najwyższe gałązki drzew i ostrożnie spuszczała się nadół, ku bezpiecznym cieniom smacznych liści. Czuła się wtedy bardzo samotna.

Pewnego dnia śliczny, barwny motyl usiadł koło niej na kwiecie i trzepocząc skrzydełkami wypijał miód z kwiatu.

— Motylku, śliczny motylku: Czy nie chciałbyś poprzyjaźnić się ze mną. — spytała gąsieniczka.

Motylek zadziwił się tak, aż przestał się delektować miodem, nastawił rożki i wykrzyknął:

— Poprzyjaźnić się z tobą, brzydka gąsienico; a o czemżebyśmy mówili, ty bezskrzydłe stworzenie, ze mną królem przestrzeni.

A widząc jej strapioną minę, dodał:

— Zaprzyjaźnię się z tobą, gdy ci skrzydła wyrosną.

Gąsieniczkę zabolała bardzo odpowiedź motyla. Smutna zsunęła się na dół w trawę, gdzie wygrzewała się do słońca stara mądra dżdżownica. Zwierzyła się jej z swym bólem, a dżdżownica pokręciła głową, przypatrzyła się jej uważnie:

— Nic się nie trap—powiedziała,—jesteś całkiem przystojną gąsienicą, a co z ciebie jeszcze wyrośnie: ho, ho — stara jestem, nie jedno w świecie widziałam. Pewno jesteś głodna, przegryź no trochę zieleninki, zaraz ci się humor poprawi.

— Kiedy mi się jeść nie chce, taka mnie senność nachodzi.

— A niteczki snuć umiesz? — spytała ciekawie dżdżownica. — Spróbuj:

Zdziwiona gąsieniczka posłuchała rady dżdżownicy i wysnuła z siebie długą, cienką nitkę jedwabnistą. Hej, jak przyjemnie jej było huśtać się w powietrzu, zaczepiwszy się nitką o gałązkę. Ale po paru dniach i te igraszki ją znudziły, senna suwała się z kąta w kąt, aż nareszcie w zagłębieniu drzewa znalazła dogodny kącik, a przymocowawszy się grubą nitką do ściany, zaczęła snuć koło siebie niteczki jedwabne, owijać się niemi cała, aż w końcu utworzyła coś w rodzaju wygodnej kolebeczki, w której smacznie zasnęła jako poczwarka.

Słońce dobrze już przygrzewało, gdy przebudziła się nasza gąsieniczka, czując dziwne ścierpnięcie łapek i swędzenie w plecach, zaczęła wyprostowywać łapki, wyprężać grzbiet i nagle pękła skórka poczwarki i nasza gąsieniczka wyjrzała na świat boży. Czuła się jakoś nieswojo, zawadzały jej nogi, które dziwnie wyrosły, zmienił się pyszczek — podziały się gdzieś silne szczęki tak dobrze tnące liście, a przytem coś jej przeszkadzało po bokach, coś czego przedtem nie miała. Zmęczenie przechodziło, zaczęła coraz żwawiej się poruszać i rozprostowywać to coś, co znajdowało się po obu bokach jej ciała gąsienicy.

Nagle straciła równowagę i — spadła z gałęzi a wtedy rozwinęły się w powietrzu z obu jej boków barwne skrzydełka. Gąsieniczka zmieniła się w motyla.

Uniesiona radością wzbiła się ku niebu, ku słońcu, ach, teraz nikt już jej szkaradną gąsienicą nie nazwie:

Nabujawszy się dosyć w przestworzach, spoczęła na kwiatkach i miód pić jęła długą trąbką, w którą zmieniła się jej buzia, a którą wedle woli składać lub rozkładać mogła.

Rozejrzała się wokoło, na trawie, w słońcu leżała stara mądra dżdżownica.

— Czy poznajesz mnie stara przyjaciółko — zawołała radośnie — to ja, gąsieniczka z tego drzewa

Dżdżownica podniosła głowę powoli, bowiem była tak stara, że nic jej już nie dziwiło.

— Widzisz: — powiedziała — a czyż nie przepowiadałam, że z ciebie coś pięknego wyrośnie?

H. Rostafińska-Choynowska.

STACH MALUJE...

Stach maluje, pędzel w ręce
Na fortuszku wielkie plamy,
Kleks na nosku, kleks na czole
Malowaniu niema tamy.
A zaś przed nim na papierze
Mienią się kolory tęczy:
Pies czerwony, kot niebieski
Żółty chłopczyk przy nich klęczy.

W tem nieballcznie potrącony
Kubek z wodą się przewraca,
Płyną strugi po papierze...
Na nic cała Stacha praca!
Ale Stasiek się nie trapi
Nowy papier już na stole
I maluje jakby żywe:
Lalkę i siostrzyczkę Jolę.

SZARADA.

Pierwsze *to na konia tak nawołujemy*
Do szybszego biegu, gdy skłonić go chcemy.
W czasie nocy drugie *czasem nawiedzają*
Wesołe i piękne lub straszne bywają.
Ostatnią literkę na a *kto zamieni*
Całość mu się w porę śliczną rozpromieni.

H. R. Ch.

Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.** Redaktor: **Leon Radziejowski.**

Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**

Wykonano w Drukarni Domu Prasy Katolickiej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.